W NUMERZE: Przeobrażenia białostockie ● O „Kozienaliach" ● Powroty i zejścia ● Co robić? ● Sprawy do załatwienia ● Rozmowy złotą jesienią haftowane ● Metryki ludzi i rzeczy ● 20 lat lubelskiej Uranii ● Rzeszowska jesień muzyczna ● Książka o martyrologii ● Enigmat opinii ● Przegląd plastyczny ● I in.

KAMENA

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN – BIAŁYSTOK – KIELCE – RZESZÓW

LUBLIN

15.XI.1964

Nr 21 (307)

ROK XXXI

CENA 2 ZŁ

BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

Po 47 latach

SĄ zjawiska, które upływający czas oddala, zaciera ich kontury, zamazuje. Są fakty historyczne, które z biegiem lat obrastają w legendę. I tylko w legendę. Nie tak się rzecz ma z Wielkim Październikiem. Ci, którzy w 1917 przypuścili szturm na Pałac Zimowy — i odwiecznie ustalony system własnościowy — dokonali dzieła opierającego się przemijaniu.

W czym tkwi tajemnica tego fenomenu? Chyba przede wszystkim w tym, że Rewolucja Październikowa, w odróżnieniu od wszystkich poprzedzających ją rewolucji, użytkowała czas, który po niej nastał, na coraz pełniejszą realizację swoich haseł, swego programu. Gdy we Francji padła już Bastylia — podobnie źle funkcjonującej reklamie neonowej zaczęły jedna po drugiej wygasać poszczególne litery napisu „wolność, równość, braterstwo", aż słowa te zgasły całkowicie. Lud Paryża i Francji zrobił swoje, ale jak się wnet miało okazać — nie dla siebie. Odwrotnie ze zdobyciem Pałacu Zimowego. Od chwili gdy szorstki but żołnierza rewolucji dotknął wymuskanej i wychuchanej posadzki pałacowej, konsekwentnie — choć bardzo powoli — zapalały się jedna po drugiej pojedyncze głoski, które z czasem ułożyły się w nową, nie znaną dotychczasowej historii treść: socjalizm. Nie był to proces ani łatwy, ani prosty. Zwłaszcza na warunki startu. Socha na wsi, niedorozwój przemysłowy w mieście, i tu, i tam pozostawiony przez carów zastój demokracji instytucjonalnej, wszystko to nie ułatwiało budowania ustroju, którego ambicją było — i jest — dać człowiekowi więcej niż za kapitalizmu i dóbr materialnych, perspektyw rozwojowych. Nie obeszło się także bez zahamowań narzuconych — z zewnątrz, w formie wojen — przez czcicieli kultu złotego cielca, i przez czcicieli kultu jednostki — wewnątrz. A mimo to, właśnie dlatego, że była to rewolucja większości w imię interesów większości, kraj, którego udział w produkcji przemysłowej całego świata wynosił w roku 1917 niecałe 3 procent, dziś, po 47 latach, zwiększył ten swój udział w przemysłowej produkcji światowej do 25 procent.

Nie będziemy mnożyć liczb ilustrujących rozwój dzieła powstałego z zaczynu październikowego. Nie tylko dlatego, że nie zmieściłyby się na tej kolumnie. Również po prostu dlatego, że nie wszystkie przecież osiągnięcia są wymierne. Nie nastręcza specjalnych trudności wyliczenie, że skoro w tym roku Związek Radziecki wyprodukuje 85 milionów ton stali, to będzie to więcej, aniżeli wynosi produkcja stali Anglii, Francji i NRF razem wziętych. Tak samo łatwo można na łamach prasy radzieckiej znaleźć informacje o tym, że rok 1964 da Związkowi Radzieckiemu — oprócz stali — 62 miliony ton surówki żelaza, 223 miliony ton ropy naftowej, 551 milionów ton węgla. Że w ogóle siła ekonomiczna Związku Radzieckiego wzrosła w porównaniu z okresem przedrewolucyjnym aż 56-krotnie. Można również wyrazić liczbami rozwój kulturalny i cywilizacyjny, posługując się danymi dotyczącymi ilości anten radiowych i telewizyjnych, ilości wydanych książeczek i zbudowanych szkół, ilości teatrów i pierwszych miejsc na międzynarodowych konkursach muzycznych, posługując się danymi dotyczącymi ilości krążących wokół Ziemi sputników radzieckich i wysłanych statków kosmicznych. Ale: jak wyrazić liczbami proces przeobrażania się zahukanego w czasach cara-batiuszki chłopa rosyjskiego w nowoczesnego człowieka? Albo: jak wyrazić liczbami rozwój demokracji socjalistycznej, któremu to zagadnieniu — niewątpliwie ze względu na jego rolę, jaką odgrywa w pokojowym współzawodnictwie z kapitalizmem — tyle uwagi poświęcił XX i XXII Zjazd KPZR i do której to sprawy z takim uporem wraca kierownictwo radzieckie od XIV Plenum, które się odbyło przed miesiącem? Albo: jak wymierzyć liczbami miejsce, znaczenie, wpływ i rolę, jaką Rewolucja i zrodzony z niej Związek Radziecki odgrywały i odgrywają w życiu międzynarodowym współczesnego świata, w rozstrzyganiu jego złożonych problemów?

I w ten sposób dotykamy innej już strony zagadnienia. Bo nie była Rewolucja Październikowa — choć nie każdy z jej żołnierzy do końca sobie to uświadamiał — sprawą tylko rosyjską. To tylko jej centrum było w Rosji, ale wstrząsami sięgała daleko poza obszar tego imperium. I po stokroć rację miał John Reed, amerykański dziennikarz, który był naocznym świadkiem tej rewolucji, gdy poświęconą tym wy-

(Dokończenie na str. 2)

Pomnik Marii Curie-Skłodowskiej dłuta M. Koniecznego na terenie lubelskiego miasteczka uniwersyteckiego. Moment przed odsłonięciem.

UNIWERSYTET WOBEC ŻYCIA

ROMUALD KARAŚ

JESTEŚMY krajem o jednej z najciekawszych historii narodowych w świecie. W swych dziejach mamy tyle zjawisk niezwykłych, tak frapujących, że wprawiają one niejednokrotnie w zdumienie i podziw nawet najbardziej sceptycznych i ostrożnych w zachwytach cudzoziemców. Do takich fenomenów nam współczesnych zalicza się niewątpliwie utworzenie pierwszej wyższej uczelni w Polsce Ludowej — Uniwersytetu im. Marii Curie Skłodowskiej.

Uczelnia powstała w 93 dni po utworzeniu PKWN, wśród trwającej zawieruchy wojennej, 50 kilometrów od frontu, w Lublinie, mieście, nad którym wciąż słychać było warkot przelatujących eskadr lotniczych i odgłosy wybuchów artyleryjskich. Jakże wielkiego ducha byli twórcy uczelni, skoro w takich warunkach, w tak niesprzyjających okolicznościach historycznych i gospodarczych powołali do życia, do normalnego funkcjonowania uczelnię mającą za zadanie rozwój nauki i kształcenie młodzieży. Jakże odmienny od okresu dwudziestolecia międzywojennego był klimat społeczny i polityczny uniwersytetu. Tak wielkiego zainteresowania uczelnią ze strony władz państwowych, tak serdecznego stosunku i pomocy w okresie niezwykle trudnym dla kraju, próżno szukać w historii nawet najbardziej sławnych uczelni w świecie. To było zjawisko niepowtarzalne, możliwe jedynie w kraju nad Wisłą, gdzie wielki nurt przemian społecznych splatał się z ideą patriotyzmu i chęcią udokumentowania ludzkości, że polska kultura i nauka potrafią się odradzać i rozwijać nawet w najtrudniejszych warunkach.

Wśród różnych dokumentów z tego okresu do najbardziej wzruszających należą podania, które na skrawkach papieru, kartkach wyrwanych z zeszytu, na odwrotnych stronach formularzy poniemieckich pisali z wszystkich stron wyzwolonej części Polski żołnierze, byli partyzanci, młodzi ludzie pragnący studiować, zdobywać wiedzę. To zainteresowanie nauką w okresie, kiedy nikomu nie były wiadome losy działań wojennych, jest zjawiskiem także niepowtarzalnym. Do takich też należą warunki studiów, sceneria, w jakiej odbywały się wykłady i ćwiczenia, na które uczęszczało około tysiąca osób. Prosi się tu o przytoczenie fragment wspomnień profesora Tadeusza Kielanowskiego.

„Była 7 rano i jeszcze zupełnie ciemno, kiedy wszedłem na salę wypełnioną po brzegi młodzieżą. Byliśmy wszyscy w mundurach i wszyscy w płaszczach, bo w oknach mocno uszkodzonego budynku brakowało szyb. Jedynym oświetleniem sali była świeca, ciągle gasnąca wskutek przeciągu i ciągle na nowo zapalana przez dyżurnego studenta. Przyjąłem raport: kazałem dać „spocznij", zawołałem: „Czo-

(Dokończenie na str. 6)

Po 47 latach

(Dokończenie ze str. 1)

darzeniom książkę zatytułował: „Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem". Bo Październik — i na tym polega jego znaczenie historyczne i międzynarodowe — dokonał wyłomu w całym dotychczasowym systemie stosunków międzyludzkich (w najszerszym tego słowa znaczeniu). „Dzisiaj, po całym roku rządów radzieckich — pisał w swej książce John Reed — wciąż jeszcze jest przyjęte określanie powstania bolszewickiego mianem „awantura". Rzeczywiście, to była awantura, nawet jedna z najwspanialszych awantur, w jakie wdał się kiedykolwiek rodzaj ludzki. Dzięki tej awanturze wtargnęły do historii masy pracujące...".

Do historii wtargnęły masy pracujące — wszędzie, daleko poza Rosją również. Bo Październik udowodnił, i to w sposób nie pozostawiający już żadnych wątpliwości, że kapitalizm jest instytucją przeżytą, a więc zbędną. Że fabryka może się obejść bez indywidualnego właściciela, a gospodarka narodowa — bez klasy kapitalistów. Przeciwnie nawet: rozwój gospodarczy Kraju Rad unaocznił z całą oczywistością, że system kapitalistyczny jest zawadą na drodze rozwojowej kraju. W ten sposób Październik zapoczątkował w świecie kapitalistycznym etap walki o prawa klasy robotniczej, walki, która obok bezpośrednich celów ekonomicznych, stawia sobie cele bardziej dalekosiężne, cele polityczne — do zbudowania społeczeństwa bezklasowego włącznie. I nie ma już — od Października poczynając — sposobu na to, by odwieść narody kolonialne od walki o niepodległość. Bo Rewolucja Październikowa — i na tym również polegał dokonany przez nią wyłom — podważyła w sposób nieodwracalny uświęcony stuleciami system panowania kolonialnego. Przekreśliła przecież u siebie nie tylko panowanie człowieka nad człowiekiem, ale także panowanie narodu nad innymi narodami. I tym „zaraziła" wszystkie bez wyjątku narody, żyjące w kleszczach kolonializmu. W Azji, w Afryce, w Ameryce Łacińskiej. I jeśli w roku nawet 1964 czytamy wiadomość o zdobyciu niepodległości przez jakiś kraj kolonialny, to jest to ciągle jeszcze wpływ Października 1917. Bo tamte 10 dni — i na taką zmianę tytułu John Reed, gdyby jeszcze żył, na pewno by się zgodził — nie wstrząsnęły, ale **wstrząsają** jeszcze światem.

A jednocześnie — **uspokajają**. Inaczej, całkiem inaczej mają się od czasu zwycięstwa Października sprawy wojny i pokoju. W czasach integralnego panowania kapitalizmu, a później imperializmu, pokój był tylko przerwą między dwiema wojnami. Traktowany był jako pauza konieczna do zaczerpnięcia oddechu przed przystąpieniem do kolejnych działań na rzecz nowego podziału świata. Wojny uważano za taką samą nieuniknioność, jak zaćmienie księżyca czy słońca, tylko że periodyzacja była tu inna, nie tak dokładnie wyregulowana. Państwo radzieckie zrodzone z Października, który wysunął hasła chleba i pokoju, od pierwszej chwili swego istnienia z jednaką gorliwością siało i jedno i drugie. Polityka pokoju, pokojowego współistnienia legła u samych podstaw państwa robotników i chłopów. Oni chcieli przecież zbudować świat lepszy od dotychczasowego. Oni przecież rozumieli, że chleb i pokój są sprawami współzależnymi: zawierucha wojenna nie sprzyja ani plonom, ani fabrykom, niczemu. Nie darmo się mówi, że socjalizm jest sprawą serca i rozumu, a oni byli za socjalizmem. Ale co innego nie chcieć wojny, a co innego móc jej zapobiec. Związek Radziecki nigdy jej nie chciał, ale samej tylko woli nie wystarczało do zapobieżenia wojnie. Sam zresztą dwukrotnie padał ofiarą napaści: w roku 1918 i 1941. To prawda, że uporał się z interwentami, to prawda, że odegrał główną rolę w rozgromieniu hord hitlerowskich w II wojnie światowej, co narodom europejskim — w tym także i nam — przyniosło wolność, a całą ludzkość uwolniło od zmory faszyzmu. Ale ludzkość zmęczona cyklicznością okresów wojny i pokoju, czekała na jakiś moment zwrotny w historii. Wzrost potęgi Związku Radzieckiego, zwycięstwo socjalizmu w innych również krajach, ukształtowanie się tzw. „świata trzeciego", na który składają się kraje nowo wyzwolone z pęt kolonializmu — wszystkie te trzy elementy (a są to przecież pochodne Października) przybliżyły ten moment zwrotny: realne się stało uniemożliwienie rozpętania nowej wojny światowej. Stwierdzenie to padło z trybuny XX i XXII Zjazdu KPZR. Powtórzył je 6 listopada w Moskwie na akademii poświęconej 47 rocznicy Października I sekretarz KC KPZR, Leonid Breżniew: „Nasza partia, podobnie jak i inne partie marksistowsko-leninowskie, wychodzi z założenia, że we współczesnych warunkach wojna światowa nie jest nieunikniona. Jesteśmy głęboko przekonani, że drogą aktywnej wspólnej walki państw socjalistycznych, międzynarodowej klasy robotniczej, narodów, które wyzwoliły się spod ucisku kolonialnego, wszystkich sił broniących sprawy pokoju, można zapobiec wojnie światowej. Pokój na Ziemi może być zapewniony".

Takie zaszły zmiany w ciągu 47 lat.

O „Kozienaliach"

Rozmowa z przewodniczącym Rady Okręgowej ZSP w Lublinie Kazimierzem Gieroniem

— Byliśmy niedawno w Lublinie świadkami zaskakującego zjawiska: na ulicach miasta pojawiły się barwne, rozkrzyczane, ubrane w najdziwniejsze stroje tłumy młodzieży i... ten „studencki wybryk" został, o dziwo, przez lubelskie społeczeństwo przyjęty nader życzliwie, wzbudził wielkie zainteresowanie (a trafiały się nawet jednostki ogarnięte entuzjazmem). Mowa o „Kozienaliach", czyli lubelskich juwenaliach, które studenci zorganizowali w związku z XX-leciem Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej.

K. G. — Chciałbym tutaj wtrącić małe sprostowanie: pochód „kozienaliowy", albo inaczej: „korowód żaków", to tylko jeden z punktów programów obchodów, przygotowanych przez ZSP z okazji uroczystości inauguracyjnych. Jednak przyznać trzeba, że ta właśnie impreza była chyba najbardziej „zaskakująca" dla mieszkańców Lublina.

— Zaskoczeni byli podobno przede wszystkim sami organizatorzy, którzy, o ile mi wiadomo, nie spodziewali się ani tak wielkiej frekwencji, ani takiej inwencji i pomysłowości wśród uczestników pochodu.

— Tak, doszły nas nawet później opinie, że stroje, przebrania, skomponowane tzw. własnym przemysłem, były o wiele bardziej interesujące niż te wypożyczone z magazynów teatralnych. No, a jeżeli chodzi o frekwencję...

— ...ta była, bez przesady imponująca, korowód ciągnął się na przestrzeni kilku kilometrów...

— Frekwencja była na pewno wynikiem ogromnej akcji propagandowej, jaką rozwinęliśmy na kilka tygodni przed uroczystościami UMCS. Ale bardzo poważną rolę odegrał tutaj jeden czynnik: od pewnego czasu obserwujemy w środowisku studenckim dążność do wyjścia na zewnątrz, do zaakcentowania swojej obecności w mieście i swojego w tym mieście pełnego współobywatelstwa. I nie ma w tym nic dziwnego. Niepostrzeżenie staliśmy się w ciągu 20 lat poważnym ośrodkiem uniwersyteckim, a więc i młodzieżowym w kraju. Jedną z najpiękniejszych w Lublinie, dużą, nowoczesną dzielnicę zamieszkuje kilkutysięczna rzesza młodzieży w wieku od 18 do 25 lat. Charakterystyczny jest dla tej młodzieży jej częsty udział w pracach społecznych na rzecz miasta. Wszelkiego rodzaju festyny, imprezy kulturalne i sportowe, podczas których studenci wychodzą poza teren miasteczka uniwersyteckiego i niejako reprezentują swoją dzielnicę, mogą się nią pochwalić, cieszą się wśród naszej młodzieży coraz większą popularnością. Dlatego też fakt wielkiego i czynnego zainteresowania studentów lubelskimi juwenaliami nikogo z organizatorów specjalnie nie zdziwił.

— Ale i mieszkańców Lublina nie wystraszył, ani... nie zgorszył. I to jest zaskakujące. Bo powiedzmy szczerze: pierwsze, przed kilku laty zorganizowane „Kozienalia" spotkały się niemal z wrogą postawą społeczeństwa. Nawiasem mówiąc, sama młodzież niezbyt chętnie brała udział w imprezie, a większość tych, którzy się zdecydowali, wystąpiła w ciemnych garniturach i krawatach. Powstała wówczas opinia, że juwenalia są przywilejem starych ośrodków uniwersyteckich, takich jak np. Kraków, ale w Lublinie nie mają żadnej przyszłości. Społeczeństwo lubelskie jest zbyt konserwatywne (?), nie rozumie młodych, a i samo środowisko studenckie jest o wiele uboższe od innych, nie posiadając młodzieży artystycznej, która tworzy ferment i nadaje ton.

— Niestety nadal nie posiadamy w Lublinie uczelni artystycznych: staramy się więc nadawać „ton" nasze-

(Dokończenie na str. 10)

Przeobrażenia

STANISŁAW ŚWIERAD

PAMIĘTAM, że zawsze przed bramą zakładów włókienniczych w Zambrowie rzucał się w oczy jarmarczny kramik z malowidłami domorosłych adeptów palety. Były więc tam sławne jelenie na rykowisku, żółto-zielone pejzaże, łabędzie pływające po parkowych stawach, słowem, wszelka tandeta lub szmira, jak kto woli. Malowidła szły jak woda. Młode dziewczęta pracujące w zakładach, pochodzące w większości z okolicznych wsi i miasteczek, przyozdabiały nimi mieszkania w nowoczesnych blokach wyrosłych wokół zambrowskiego rynku.

Dlatego bardzo się zdziwiłem, kiedy po kilku latach znowu odwiedziłem zakłady i nie spostrzegłem owych kramików. Czyżby nakazem administracyjnym zabroniono sprzedaży „obrazów" i makatek przed fabryczną bramą? „Skądże — odpowiada jeden z inżynierów (n. b. pochodzący z okolic Myszyńca, sławnych właśnie z masowego wyrobu jarmarcznych malowideł). — Przekupki ogłosiły kompletną plajtę. Teraz żadna z dziewcząt ani myśli o zawieszeniu na ścianie swojego mieszkania makatki z łabędziami lub obrazu z jeleniem".

Tak, czasy się zmieniają, a wraz z nimi i ludzie. Jeszcze nie tak dawno wyrocznią mody była miejscowa Gminna Spółdzielnia. W jej sklepach stroiły się w różne kolorowe fatałaszki zambrowskie dziewczęta. A dzisiaj? Dzisiaj ich gustów nie zadowala dobrze zaopatrzona „Moda Damska" w Białymstoku. Dziewczęta pracujące w zambrowskich zakładach włókienniczych często wyjeżdżają do stolicy, odwiedzają renomowane sklepy i magazyny. I trzeba przyznać, że ubierają się z dużym poczuciem piękna, gustownie, zgodnie z najnowszym szykiem mody.

Czy te widoczne przeobrażenia nastąpiły mechanicznie? Oczywiście nie. Złożyło się na to wiele czynników. Ogromny wpływ miał przede wszystkim sam zakład. Nowoczesny, zmechanizowany, wyposażony w najnowszej konstrukcji maszyny i urządzenia. „Czyż mogłam pozwolić — zwierza się Irena Z. — aby w moim mieszkaniu ściany były brzydsze, aniżeli w hali produkcyjnej?". Praca w nowoczesnym zakładzie przemysłowym, podnoszenie na wyższy poziom kultury miejsca pracy, pociągnęły znaczne zmiany w poczuciu estetyki u młodych zambrowskich robotnic.

Czy tylko wśród nich? Znany białostocki plastyk Jerzy Lengiewicz pewnego razu zaproponował przedstawicielom rady zakładowej miejscowej Fabryki Przyrządów i Uchwytów urządzenie ekspozycji swoich obrazów w hali produkcyjnej. Ponieważ hołduje on konsekwentnie malarstwu abstrakcyjnemu, nie potrzebuję chyba ukrywać, że początkowo jego propozycja zaszokowała związkowców. Poszli jednak na ryzyko. Wyrazili zgodę na zorganizowanie wystawy. I cóż się okazało? Że wystawa spotkała się z dużym zainteresowaniem robotników.

Akurat wtedy odwiedziłem fabrykę. Pytałem, czym tłumaczą owe zainteresowanie robotników nowoczesnym, trudnym w odbiorze malarstwem. „A wiecie, dla nas również to było zastanawiające. Rozmawialiśmy na ten temat z robotnikami. Niektórzy byli szczerze obrażeni naszym zdziwieniem. Uważali bowiem, że świadczy to o traktowaniu ich jako tych, którzy nie potrafią odróżnić czegoś ładnego od nieładnego. Oni też mają poczucie piękna".

Nie dowierzałem jednak przedstawicielom kierownictwa fabryki. Postanowiłem sam osobiście porozmawiać z robotnikami. I już pierwsza odpowiedź dała mi wiele do myślenia. „Panie redaktorze — powiedział mi jeden z robotników — a czy to, co produkujemy w fabryce, nie jest naprawdę piękne? Proszę, niech pan spojrzy na ten przyrząd. Czy nie wygląda jak prawdziwe cacko? I jeśli codziennie pracuję nad stworzeniem takich różnych rzeczy, które wprawiają w zachwyt kupców z blisko pięćdziesięciu krajów, to dlaczego nie potrafiłbym ocenić, czy obraz wiszący na ścianie jest dziełem sztuki, czy zwykłą tandetą"?

Jakże śmiesznie brzmią dysputy o innej, pośledniejszej kulturze dla szerokich mas, a odmiennej dla wybranych znawców. Prości, skromni robotnicy są równoprawnymi partnerami w odbiorze prawdziwych dzieł sztuki. I słusznie protestują przeciwko krzywdzącym opiniom o ich minimalistycznym zapotrzebowaniu na utwory plastyczne, czy literackie.

„Przychodzi dwa razy w tygodniu do naszej biblioteki — opowiada kierowniczka przyzakładowej biblioteki w jednym z przedsiębiorstw budowlanych — pewien murarz. Dokładnie przegląda katalog, a następnie pyta, dlaczego nie posiadamy w księgozbiorze takiej a takiej książki, która w ostatnich dniach ukazała się w sprzedaży. Interesuje się szczególnie nowościami. Tłumaczę mu, że przecież wyłącznie dla niego nie możemy kupować książek. Czy jest pewien, że inni też przeczytają?"

I jak sądzicie, co odpowiedział ów robotnik? Po prostu tak: „Jak nie będzie tych książek w bibliotece, to na pewno nie przeczytają". I nic więcej. Kierowniczka biblioteki zaryzykowała. Nabyła do swojej biblioteki kilka powieści współczesnych pisarzy polskich i obcych, a także kilka tomików poezji. I znowu efekt raczej zaskakujący. Tomiki wierszy wędrowały z rąk do rąk. A przecież zakupiła je do księgozbioru eksperymentalnie, jak sama się teraz wyraża — na próbę.

Ten drobny fakt świadczy nie tylko o wzroście upodobań czytelników ze środowiska robotniczego, ale również o braku rozpoznania zapotrzebowania na dzieła sztuki wśród najliczniejszej grupy ich odbiorców. „Śmiało mogę stwierdzić — wyznała mi Maria S. — że często działamy po omacku. I stąd niesłuszne przypuszczenia, krzywdzące, niesprawiedliwe opinie i błędne wnioski". Cóż, w tym stwierdzeniu kryje się sporo prawdy, niestety, prawdy wcale nie nastrajającej optymistycznie.

Nie jestem krytykiem literackim. Dlatego nie wdaję się w spory, kto może być bohaterem współczesnych powieści, nowel, czy poematów. Wcale nie zamierzam postulować nawrotu do „powieści produkcyjnych", które dawały schematyczny, uproszczony, tym samym nieprawdziwy obraz naszych czasów. Nie mogę jednak zapomnieć wrażenia, jakie pozostawiła w mojej pamięci wizyta w Domu Młodego Robotnika w Zambrowie. Właśnie odbywały się próby zespołu estradowego. Byłem zaskoczony, że na próbach wypełniona była cała sala.

Istnieje duże zapotrzebowanie na literaturę o tematyce współczesnej. Ci, którzy przysparzają krajowi nowych dóbr materialnych, tworzą nową Polskę, chcą, aby ich problemy znalazły wyraz w dziełach sztuki. I chyba mają do takich żądań moralne prawo. „Dlaczego u nas popada się często z jednej krańcowości w drugą? — pytano mnie w Zambrowie. — Kiedyś pisano całe tomy o pozytywnych bohaterach, a dzisiaj również pisze się całe tomy, ale tylko po to, aby uzasadnić, iż taki bohater nie istnieje. Błędne koło".

Zakończę ten felieton jeszcze jednym autentycznym przykładem. Pewnego razu do jednego z białostockich architektów przyszedł majster, który pracował przy budowie domu wznoszonego według projektu wspomnianego inżyniera. „Panie inżynierze — mówił — ludziom z mojego zespołu nie podobają się dwa cokoliki. Powiadają, że tak saroświeckiego nowego domu nie będzie w Białymstoku, jak ten pański. Czy nie zrezygnowałby pan z tych cokolików? Bo oni mają chyba rację..." Architekt początkowo się nie zgadzał, wiadomo — prestiż, ale później po cichu się wycofał.

Czy tylko on powinien wycofać się z błędnych pozycji?

Powroty i zejścia

TADEUSZ KŁAK

LUBIMY pewne sprawy, także w literaturze, załatwiać przez nadanie im odpowiedniej etykiety, przez wrzucenie ich do z góry przygotowanej szufladki. Powiemy więc, że Iwaszkiewicz to Skamandryta, Dobrowolski poeta „Kwadrygi", co oczywiście dzisiaj nic nie znaczy, żadnego z tych poetów nie określa. Zjawisku podobnemu sprzyjała głęboka cezura ostatniej wojny, która wiele poetyckich biografii przełamała na dwie połowy, nigdy już nie złączone. Dobrze jeśli to przełamanie dotyczy pisarza, którego pozycja ukształtowała się jeszcze przed wojenną cezurą. Epilogi wszak rzadko bywają interesujące. Gorzej, jeśli przepołowienie biografii staje się udziałem pisarza startującego na parę lat przed wojną, zwłaszcza gdy udało mu się osiągnąć pewien stopień rozgłosu. Zapamiętany zostaje debiut i jego okolice, ale to nie sumuje się z późniejszymi osiągnięciami. Przykład najlepszy — Stanisław Piętak. W opinii literackiej wielki powojenny dorobek tego poety nie zrównoważył przedwojennych paru tomików. Pozostał poetą, który wyrósł z kręgu awangardy krakowskiej, potem znajdował się w kręgu Czechowicza. Nie był dla tej opinii nigdy naprawdę Stanisławem Piętakiem.

Zjawisko to dostrzec można doskonale śledząc drogi dawnych futurystów, wśród nich Anatola Sterna, który od wielu lat troszczy się o przywrócenie polskiemu futuryzmowi należnego miejsca. Wszystkich poetów tej grupy określa się jedną etykietą niezależnie od kierunku ich późniejszych lotów poetyckich. Stern przeszedł drogę zbliżoną do dróg wielu nowatorów i burzycieli starego porządku. Po okresie zdobywczym przyszedł czas zabezpieczenia zdobyczy, po wielkiej burzy — uspokojenie. To różnica między „Anielskim chamem" a „Rozmową z Apollinem". Czy była to rezygnacja i powrót na bezpieczne drogi, wyczerpanie możliwości? Trudno rozstrzygać. Wystarczy stwierdzić, że liczył się dla poety okres pierwszy, za niego otrzymał przepustkę do historii literatury. Potwierdził ją nie tak dawno Kazimierz Wyka w „Rzeczy wyobraźni". Sprawa Sterna wydawała się rozstrzygnięta i zamknięta.

A oto pojawia się jego nowy tom: „Widzialne i niewidzialne".* Tytuł zbioru niemal programowy, jak na dawnego futurystę. Człon pierwszy przypomina zmysłową konkretność młodzieńczych wierszy Sterna, człon drugi natomiast odsyła do strumienia irracjonalizmu, który szerokim nurtem przepływał u dna wielu futurystycznych wierszy. Czyżby więc poeta dokonywał powrotu do źródeł? Nie uprzedzajmy faktów. Jedno jest pewne: w „Widzialnym i niewidzialnym" Stern dokonuje syntezy, złączenia wszystkich doświadczeń i prób w jedno. A jeśli o powrocie chcielibyśmy mówić, to powrót ten nie równałby się punktowi wyjścia, nie oznaczałby tożsamości, powtórzenia drogi. Poeta wraca, ale ogromnie wzbogacony i odmieniony, bardziej dojrzały. Mówienie o nawrocie nie jest tylko domysłem krytyka. Pierwszy przecież z poematów — „Znaki wróżebne" — stanowi próbę obrachunku i obejrzenia się za siebie. To zejście w głąb po ruchomych schodach czasu:

Przy końcu mojego żywota
przeżyłem dni swoje od nowa
w płonącym szkle zachodu
nieruchomego
zniosły mnie ruchome schody czasu
tam skąd się już nie wraca

I tu poeta dostaje się pod władzę Przewodnika. Rozpoczyna się wędrówka przez obszary, które są równocześnie Hadesem, piekłem Dantego i piekłem, jakiego niejednokrotnie zaznawali nasi współcześni. Poemat przez to zyskuje wymiar mitologiczny i ponadczasowy. Czas staje się względny, epoki mieszają się. Wspólnym mianownikiem jest „ja" poety, jego wyobraźnia. Elementem łączącym są też idee i zasady, a nie historyczne ich wcielenia. I stąd rzeka, po której płynie łódź Charona to nie tylko Styks, to również rzeka płynąca przez inne piekło:

te spalone domy na rynku
te zardzewiałe krzaki drutów kolczastych
już wiem już wiem jaka to rzeka paruje
to Wisła
Kazimierz
przewoźnik Chaim

Poeta jest tu również Orfeuszem, szukającym swej Eurydyki. Przewodnik z poematu Sterna nie prowadzi więc ku ocaleniu, nie daje do ręki nitki Ariadny, zostawia bohaterowi poematu białą laskę ślepca. Poeta musi sam znaleźć wyjście z labiryntu. Gdzie ono się zawiera? Tu otwiera się druga sprawa poematu:

Mówią: nie trzeba zdradzać poezji
Myślę: nie trzeba zdradzać życia

Oto wierność sobie i młodzieńczym zasadom. Poeta-futurysta pragnął zanurzenia w strumieniu życia. Ale wędrówka z przewodnikiem prowadziła też przez życie. A jednak doświadczenia wędrówki nie odbierają nadziei. Zresztą schodzimy ku innemu znaczeniu tego słowa. To już nie tylko wielka metafora, ale zarazem czechowiczowski dzień jak co dzień.

ci pospiesznie połykający kęs chleba o świcie — to ty
a najbardziej już ci umierający to ty, to ty!!

Wędrówka przez labirynt, przez wszystkie kręgi Hadesu ma się ku końcowi. Zbawienie zawiera się w odzyskaniu poczucia jedności świata, wspólnoty rzeczy przeszłych i przyszłych, w zrozumieniu miejsca swojego w świecie. Poeta utożsamia się ze światem, wyczuwa istniejące pokrewieństwo:

tu dzień wczorajszy
wrasta delikatnymi mocnymi korzeniami
w dzień dzisiejszy
już się nie rozłączą

Wspólnota rozciąga się więc na cały kosmos. Od zrozumienia jedności i ciągłości już tylko krok do końcowego wyznania braterstwa ludzkiej gromady, ostatecznego pojednania. Tak to brzmi: „ręce które dotykają planet dotkną waszych serc przyjaciele". Ciekawe, a to nie przypadek, że zakończenie o podobnej tonacji ma poemat „Mewy z Neseberu".

Zauważmy, że znaleźliśmy się znów w kręgu myśli futurystów, dla których zjednoczenie całej ludzkości było przedmiotem marzeń i wyrażało się w licznych poetyckich obrazach. To również jeden z nawrotów Sterna do początków.

Zająłem się obszernie jednym poematem nie przez przypadek. Okazuje się bowiem, że pozostałe dwa poematy — „Dom Apollinaire'a" oraz „Mewy z Neseberu" mają podobną więź konstrukcyjną oraz zbliżony wątek myśli. W nich także dokonuje się owo zejście w głąb czasu i odbywa się korzystanie z bogatych aluzji historycznych. Obecne też jest poczucie wspólnoty historycznej i ludzkiej. W poemacie poświęconym Apollinaire'owi zasady te wyglądają bardziej osobliwie. Pytania dotyczą przede wszystkim miejsca bohatera w świecie oraz szukania wspólnoty z własną przeszłością. Poemat ten byłby dosyć „ciemny", niejednoznaczny, gdyby nie fakt, że istnieje do niego bogaty komentarz w postaci znanego szkicu Sterna o polskim pochodzeniu francuskiego poety. Dysponując tą wiedzą czytamy „Dom Apollinaire'a" w sposób głębszy, aluzje biograficzne łatwiejsze są do rozpoznania.

Właśnie „ciemność" — oto co urzeka w poematach Sterna. Ich wizyjność, wróżebny charakter. Jest w nich coś z objawienia, coś z proroctwa, coś z halucynacji wyobraźni, w której nad chaosem z trudem panuje idea rygoru i ładu. Świat to mętna rzeka wrażeń i faktów. Dopiero u końca jest nadzieja i jasność. Ale ta ostatecznie optymistyczna wizja świata a optymizm jego poezji lat dwudziestych — to dwie różne sprawy. Dzieli je ogrom gorzkich doświadczeń, przejście przez labirynt i epokę pieców. To samo można powiedzieć o słowie poematów. Zasady są podobne, ale jakże różne owoce. Swoboda słowa nie kłóci się z rygorem, w zwykłym języku poematu zawiera się kruszec poezji. „Widzialne i niewidzialne" dzieli od futurystycznych wierszy Sterna lat czterdzieści: to bardzo dużo. Dzieli je po prostu dojrzałość. I ludzkie doświadczenie, które sprawia, że jeżeli poeta mówi: „straszna jest nie śmierć, straszna jest trwoga przed śmiercią", to te słowa nie są rzucane na wiatr.

* Anatol Stern: „Widzialne i niewidzialne". W-wa 1964. PIW.

WILLIAM SHAKESPEARE

Sonet CVII

Not mine own fears...

Choć obce mi są lęki i przeczucia duszy
w tych rzeczach co przyjść mają z szerokiego świata
Mogą jeszcze mą wierną miłość rzewnie wzruszyć
jeśli wyroków losu powstrzymają stratę.

Jak bryła księżycowa trwa w tępej martwocie
i smutkiem swym wyszydza własne przepowiednie
— w niepewności koronie pewność w mgle się złoci
a pokój wiecznotrwały pragnie wpleść
[w nasz bieg dni

Krople czasu jak balsam spadają kojąco
I choć serce mam młode — śmierć już rzuca cienie
Na złość jej rym mój biedny trwać będzie bez końca
Nie jak Ci co nie mają nic do powiedzenia.

Blichtr tyranii opadnie, czas o nim zapomni
Ty również z treści twojej zbudujesz swój pomnik.

Z oryginału przełożył
Wacław Gralewski

Co robić?

EMANUEL ISERZON

OKOŁO 50% młodzieży po uzyskaniu matury nie dostaje się na studia wyższe. Część — dlatego, że nie uporała się z egzaminem rekrutacyjnym, a część — z powodu braku miejsca, choć wyszła obronną ręką z próby rekrutacyjnej. Czy ten stan rzeczy nie popada w sprzeczność z zapewnieniem naszej Konstytucji: „Obywatele PRL mają prawo do nauki"?

Jasne, że prawo do nauki jak każde tzw. prawo podstawowe obywatela, nie jest nieograniczone. Słowo Konstytucji nie może stać się ciałem, jeżeli obywatel nie ma kwalifikacji do nauki w obranym przez siebie zakresie i kierunku. Również w tym wypadku państwo nie jest związane poręczeniem Konstytucji, jeżeli w danym momencie nie ma możności zaspokojenia pragnień obywatela. Bo w prawie państwowym, podobnie jak w prawie cywilnym, „zobowiązanie do spełnienia rzeczy niemożliwej nie istnieje" (*impossibilium nulla est obligatio*). Oba rodzaje ograniczeń prawa do nauki są usprawiedliwione logiką życia. O drugim ograniczeniu wspomina nawet dość wyraźnie sama Konstytucja, bo według jej słów prawo do nauki zapewnia się nie w zakresie nieograniczonym, ale w miarę możności rozwojowych: prawo to realizuje się według ustawy konstytucyjnej „w coraz szerszym zakresie" (art. 61 ust. 2).

Nasze prawo zasadnicze o rozwoju oświaty i wychowania z 1961 r. określa licea ogólnokształcące, technika zawodowe i licea zawodowe jako szkoły średnie zapewniające „wykształcenie ogólne niezbędne do podjęcia studiów wyższych" (art. 17 i 18).

Jeżeli według brzmienia ustawy szkoła średnia zapewnia „wykształcenie niezbędne do podjęcia studiów wyższych", oznacza to, że matura uzyskana w tej szkole jest ustawowym d o w o d e m f a k t u, że obywatel, który maturę uzyskał, posiada kwalifikacje do studiów wyższych. Jest jasne, że skutki faktyczne przywiązane ustawowo do danego dokumentu nie ulegają sprawdzeniu. Ale ustawa z 1958 roku o szkołach wyższych stanowi, że dopuszczenie do studiów w charakterze studenta „może być uzależnione od złożenia egzaminu wstępnego". Z tego zestawienia widać, że między postanowieniami obu ustaw istnieje sprzeczność. Ponieważ ustawa o rozwoju systemu oświaty i wychowania weszła w życie w 1961 r., nie można nie uznać, że postanowienie wcześniejsze (z 1958 roku) jest uchylone postanowieniem późniejszym.

Oczywiście, skoro brak miejsca w szkole wyższej, nie jest ona obowiązana do przyjęcia kandydata, nawet jeżeli legitymuje się świadectwem maturalnym. Jeżeli do danej szkoły wyższej zgłasza się więcej kandydatów, niż jest miejsc, szkoła ta jest uprawniona do przeprowadzenia selekcji. Ale k r y t e r i u m t e j s e l e k c j i n i e m o ż e b y ć w y n i k e g z a m i n u s p r a w d z a j ą c e g o, jak to się rzecz dziś dzieje, posiadanie przez kandydata wiedzy w pewnym zakresie nauczania szkolnego. Ta wiedza jest już ustalona świadectwem maturalnym. Nie jest to tylko jałowe wnioskowanie prawnicze. Powszechnie uznaje się, że rekrutacja w drodze egzaminu w pewnym zakresie nauczania już odbytego w szkole średniej, jest niecelowa. Nie daje ona zamierzonego efektu. Podejrzewa się nawet, że wiele talentów kryje się wśród tej masy kandydatów, która w wyniku niedostania się do szkół wyższych musi rezygnować z dalszej nauki.

Przez przyjęcie obywatela na studia wyższe państwo nasze nie poręcza absolwentowi pracy w zakresie „zawodu wyuczonego". Państwo socjalistyczne jest państwem gospodarki planowej i nie może zatrudniać obywateli ponad potrzebę, ponad tę ilość pracowników, których wymaga wykonanie zadań planowych w danym dziale działalności państwowej. O tym każdy przyjmowany na studia wyższe jest uprzedzony, a przynajmniej powinien być uprzedzony. Czy ten stan rzeczy nie przemawia przeciwko przyjmowaniu na studia wyższe ilości kandydatów przekraczającej ilość, która będzie potrzebna według wskaźników planu? Nie, nie przemawia. „Nauka w las nie idzie". Celem nauki, ściślej — zdobycia pewnego wykształcenia nie jest tylko możność zarobkowania w zakresie zawodu wyuczonego. Wykształcenie podnosi inteligencję i kulturę obywatela i czyni go, nawet z zawodowego punktu widzenia, ze stanowiska jego wartości jako pracownika w ramach j a k i e g o k o l w i e k zawodu, bardziej wartościowym, bardziej wydajnym.

Zagadnienie, w jaki sposób umożliwić wszystkim maturzystom pragnącym kontynuować naukę w szkole wyższej urzeczywistnienie ich pragnienia — należy uznać za jedno z najdonioślejszych nie tylko ze stanowiska interesu 50% maturzystów pozostających poza bramami szkół wyższych, ale i ze stanowiska państwowego.

Dali temu trafny i wymowny wyraz — Włodzimierz Sokorski w artykule „Młodzież i zawód" i redakcja „Życia Literackiego", która umieściła ten artykuł na czołowym miejscu czasopisma (nr 40 z 4 października br.). Podnosimy to z tym większą przyjemnością, że daje to nam okazję do przypomnienia, że „Kamena" w czerwcu br. również na czołowym miejscu ogłosiła uwagi na podobny temat („Reforma studiów wyższych").

Walorem artykułu Włodzimierza Sokorskiego jest zdecydowane i drastyczne wyjawienie źródła zła, ściślej — trzech źródeł zła: 1) „o wyborze kierunku studiów decyduje albo tradycja, albo uprzedzenie do zawodów przemysłowych, albo „stadne" nastroje wśród młodzieży; wielu snobuje się na typ studiów filozoficzno-humanistycznych...". Dlatego autor postuluje wprowadzenie planowego poradnictwa. 2) „nasze szkolnictwo ogólnokształcące jest reliktem epoki, gdy w gimnazjach szkoliło się referendarzy ministerstw; dziś natomiast po skończeniu matury nie można być nawet referentem i trzeba zaczynać od gońca; matura w naszych warunkach jako atestat dojrzałości nie załatwia sprawy tak długo, dopóki nie stanie się świadectwem uprawniającym do wykonywania określonego zawodu"; 3) „fabryka jest straszakiem, a praca w urzędzie nieosiągalnym marzeniem".

Środkiem zaradczym na błędny wybór kierunku studiów wyższych jest poradnictwo. Ale nie jest środkiem zaradczym na snobizm, polegający na pragnieniu otrzymania wyższego wykształcenia. Zresztą snobizm jest postawą arcyludzką i potężnym czynnikiem dynamiki społecznej (przypomnijmy sobie teorię „naśladownictwa społecznego" jako spiritus movens życia społecznego). I jeszcze jedno. Czy wolno nam stawiać maturzyście zarzut „snobowania się", jeżeli uprawniliśmy go z mocy wyraźnego przepisu ustawy do kontynuowania nauki w szkole wyższej, skoro uznaliśmy wykształcenie wyższe za co najmniej dozwolony cel kształcenia się w szkole średniej?

Pragnienie zdobycia wiedzy na poziomie wyższym jest bądź co bądź szlachetnym snobizmem. Że matura po-

(Dokończenie na str. 8)

Powroty

Nagroda II stopnia na konkursie Młodej Literatury Lubelskiej

TADEUSZ CZAJKA

Było tak, jak to wtedy, gdy w gorączce czuł dotknięcie matczynych rąk, poprawiających mu miękką, z lat dziecinnych poduszkę, chociaż w rzeczywistości był to woreczek wypchany słomą.

Było tak, jak wtedy, gdy matka otulała go puchową kołderką, szukając miejsca, którędy mogłoby jeszcze dotrzeć do niego zimno — wtedy była śnieżyca, spał na najwyższej pryczy, a śnieg przeciskał się przez szpary baraku.

Wtedy zasnął z tym uczuciem, a potem nieraz jeszcze przywoływał je w swoich majaczeniach, ale nie zawsze chciały wracać. Dzisiaj tamto było tylko momentem przytłoczonym natychmiast błogością faktów, szczegółów, zdarzeń, rzeczywistych dotknięć, które teraz odurzały go jeszcze, jak ten otaczający zapach świeżutkiej pościeli, jej szelest, miękkość posłania i nachylona nad nim, prawdziwa twarz matki.

Zasnął w połowie wypowiadanego zdania.

Jego sen nie był zaskoczeniem dla matki, a jednak ten moment, w którym przestał naraz mówić, rozszerzył jej oczy nagłym jakimś odruchem lęku, dla odprężenia którego trzeba było wsłuchać się w równy oddech Jurka, przyjrzeć się jeszcze raz jego rysom, upewnić się, chociaż minął już cały dzień, jak wrócił zdrowy i cały.

Wstając od łóżka uśmiechała się do tych myśli i szła do kuchni, chociaż w drugim pokoju zasypiała jej córka, do której każdego poprzedniego dnia zaglądała o tej porze, i chociaż w kuchni nie było już nic do zrobienia. Przesunęła krzesło, zajrzała bezmyślnie do kredensu, rozglądnęła się nie wiadomo za czym, zawróciła.

Jurek spał naprzeciw łóżka matki. Ulokowała go tak specjalnie — wiedziała, że teraz, przynajmniej przez jakiś okres czasu, nie będzie mogła zasnąć bez jego widoku.

Rozbierając się, kładąc do łóżka, ciągle jeszcze z trudnością odrywała od niego wzrok. Jej stan jakoś odbiegał od normalnych przejawów radości, których można by oczekiwać w danej sytuacji — był jakimś ciągle nie dającym się opanować stanem podniecenia, graniczącym z niepokojem, przeobrażającym się momentami w dziwny lęk, jakby działało jakieś przerażające prawo, które strzeże poczucia szczęśliwości.

W domu była cisza. Ze swego łóżka mogła teraz bez skrępowania przypatrzeć mu się, wyszukać każdy jego kształt. Okno dostarczało wystarczającej ilości światła, aby kształty wyostrzyć wyobraźnią szczegółów. Wprawdzie szczegóły te rozmazywały się co pewien czas, ale nie oznaczało to słabnącej wyobraźni, bo po przetarciu oczu wracały jeszcze wyraźniejsze, chociaż to nie był wcale płacz.

Myśli skaczą same, odrywają się gdzieś daleko... był maleńki i miał taki niebieski sweterek...

Czyżby ten mężczyzna miał być jej synkiem? Jeszcze wtedy, w tę ostatnią noc przed aresztowaniem wydawał się dzieckiem, tyle że dużym. Tak jej jakoś został w pamięci.

Nie wygląda źle. Opowiadał, jak go karmiono po wyzwoleniu obozu. Dlaczego więc przywiózł ze sobą cały plecak chleba? Czyżby przypuszczał, że u nas może być głód? Musiał przecież wiedzieć, że nasze tereny, że Lubelszczyzna ma już od roku wolność.

Wszystko już było własne, skromne wprawdzie, ale chleba nie brakowało przecież. Przez ten ostatni okres nie mogli wysłać mu żadnej paczki, bo jak? Z Majdanka wywieziono go w głąb Niemiec. Wrócił jednak, wygląda dosyć dobrze...

— Schowałyście ten chleb? — zapytał przy śniadaniu.

Matka z córką wymieniły spojrzenia.

— Przecież to stary chleb — wyrwało się Irce — wiozłeś go chyba przez kilka dni.

— To nic, przyda się. Macie widzę świeży, ale niech tamten będzie. Trzeba go gdzieś schować.

Irka chciała już coś powiedzieć. Matka nie dopuściła jej do głosu, zaczęła wypytywać go o podróż. Miała przy tym jakiś odmieniony wzrok.

Drgnęła. Jakiś szelest skierował momentalnie jej wzrok na łóżko syna. Jurek usiadł nagle na posłaniu, przetarł oczy, rozejrzał się półprzytomnym wzrokiem i naraz wybuchnął śmiechem.

Przymknęła lekko oczy i śledziła go pozorując sen. Może nie zdziwiłaby się tak bardzo, gdyby pierwsze normalne dźwięki tego śmiechu nie zmieniły się naraz w jakieś gardłowe odgłosy, potem w chichot stopniowo przechodzący w szept, aż do nieokreślonego piskuśmiechu.

Z każdą zmianą brzmienia tego śmiechu przeobrażał się także wyraz jego twarzy, która wydać się teraz mogła szmacianą kukłą poruszaną i wykrzywianą ukrytą w niej ręką złośliwego aktora.

Matka nie mogła się ruszyć. Imię, które chciała wykrzyknąć, dławiło ją gdzieś w wyschniętym naraz gardle.

Śmiech załamał się. Jurek dotknął delikatnie poduszki, jakby to było jakieś futerkowe stworzonko. Pogładził ją, zaczął wodzić dłonią po jej kształtach, zatrzymał się na jakimś zagłębieniu i znowu chichotał. Nagle rzucił się całym ciałem na pościel, przykrył kołdrą razem z głową. Teraz, spod tego przykrycia zaczęły wydobywać się te same jak poprzednio tylko stłumione, nieartykułowane dźwięki. Jurek był wysokim mężczyzną. Naciągnięta na głowę kołdra nie wystarczała na przykrycie nóg. Sterczące, długie, bose stopy schowały się. Skurczył się i uciszył.

Gdy matka zdobyła się wreszcie na odsłonięcie jego głowy, już spał. Nie mogła leżeć. Stanęła przy oknie. Noc była pogodna.

Na drugi dzień Jurek poszedł zobaczyć miasto.

— Co zrobimy z tym chlebem? — zapytała matka Irki.

— Nie ma zmartwienia — odpowiadała córka nie przerywając obierania kartofli — zaraz go namoczę, podrobię i dam kurom. Będzie na kilka dni.

— Ale czy to nie jest dziwne? — próbowała rozszerzyć temat matka.

— Mama zawsze musi mieć problemy — ucięła Irka — śmieszna historia i tyle. Jak mu kiedyś opowiemy, to się uśmieje.

To ostatnie zdanie córki jakoś na nią podziałało. Opanowała się. Szybko zajęła się sprzątaniem.

Jurek wracał do domu przez park. Podchodził do drzew, dotykał kory, spoglądał w górę na ich wyrośnięte korony, uśmiechał się niespodziewanie do napotykanych, nieznajomych twarzy, siadał na ławkach, machał chwilę nogami i znów niecierpliwie podrywał się, by pobiec do następnej rzeczy, do dalszego szczegółu, który w jakimś stopniu był przecież jego tutaj cząstką. Tutaj się wychował.

Kasztany spadają z drzew każdej jesieni od nowa, nic więc dziwnego, że Jurek zbierał je teraz tak samo jak wtedy, gdy chodził z tornistrem. Teraz nie miał tornistra, wypchał więc nimi wszystkie kieszenie, potem wyprostował się, spojrzał na siebie i zaczął się śmiać. Uczynił ruch, jakby chciał je wyrzucić, ale nie zrobił tego.

Usiadł na ławce. Zaciekawiło go drzewo, którego liście nawet przy lekkim powiewie wiatru pokazywały mu drugą, wewnętrzną stronę swej barwy. Zewnętrzna zieleń mieniła się odcinylanym srebrem.

Uśmiechnął się może i dlatego, że naprzeciw, po drugiej stronie alejki, siedział jakiś mężczyzna i przyglądał mu się.

— Do widzenia panu — wykrzyknął do niego ruszając dalej.

Nieznajomy poruszył się niespokojnie.

Przed domem zatrzymał się. Rozglądał się ciekawie, jakby zwiedzał jakiś nieznany zabytek. Potem obejrzał się za klapnięciem zamka od furtki, obszedł budynek i stanął na podwórku.

Przed nim była gromadka kur, które zawzięcie dziobały pokrojony w kawałki chleb. Niektóre doskakiwały do siebie, wyrywając zazdrośnie zdobycz. Nie trwało to długo. Twarz Jurka zmieniła się nagle. Ręce odchylił lekko do tyłu, jakby dla nabrania większego oddechu. Skoczył pomiędzy kury. Jakimiś nieopanowanymi ruchami zaczął je rozpędzać. Potem szybko ukląkł i nerwowo zgarniał rozrzucone kawałki chleba. Palce grabiły ziemię, a co chwila jedna z rąk odrywała się od tej czynności i machała raz w jednym, raz w drugim kierunku, jakby odpędzała w ten sposób kury, które rozleciały się już z wielkim krzykiem i gdakaniem i wcale nie miały zamiaru powracać.

Wybiegła matka. Stanęła. Trzęsła się jej broda. Ręce podnosiły się wolno, aby za moment spleść się dłońmi, jak do modlitwy.

— Jurek! — wykrztusiła krzyk.

Mężczyzna poderwał się natychmiast. Błyskawicznie skręcił głowę w kierunku głosu. Znieruchomiał. Potem wolno opuścił ją.

Wyglądał dosyć śmiesznie, bo sterczące, wypchane kasztanami kieszenie zniekształciły jego postać.

Opowiadanie napisałem w dwadzieścia lat po powrocie z obozu.

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA

Szeptem

Nie zawiedzie — ale tylko w tym jednym,
nie odstąpi — ale tylko za tę cenę,
wierna — ale tylko w tej godzinie,
dzielna — ale tylko kiedy nóż na gardle.
Ani się do niej przyznać, ni nie przyznać,
ani służyć, ni porzucić służbę,
ni powierzyć się, ni nie dowierzać,
ani przysiąc jej, ani ją przekląć.

Wyjść najpewniej na przestrzeń niewinną,
gdzieby wszystko było o czym innym,
oddalonym, bez świadków, nie krewnym...
I wkorzenić się tam i nareszcie rosnąć
[wielkim drzewem.

Przestroga

Jeżeli puścić tę gałąź
olchy, leszczyny, jesionu
jeśli tę gałąź grabu
— zatoniemy, zatoniecie, zatoną.
Drętwiejesz? Słabniesz?
Maligna cię chwyta pomału,
pokazuje twarze nieludzkie,
zębiska wilcze, chód żabi
i szatan szepce: „Wróg: zabij".
(Zły chce tylko, byś gałąź puścił).

A ty się trzymaj jesionu,
trzymaj się jarzębiny i grabu,
bo jeśli puścić tę gałąź
— zatoniemy, zatoniecie, zatoną!

Puste kłosy

Sługi nieużyteczne,
kłosy wymłócone przypadkiem...
Przebiegał wiatr, przechodził deszcz
— wzdłuż, wszerz, wspak —
na nie zoraną powierzchnię
z kłosów wymłóconych na wietrze
ziarno wysypał ptakom.

Sługi nieużyteczne!

Niech by chwilę patrzeć, jak dziobią
ziarno rozsypane na wietrze,
nim wiatr puste kłosy skręci,
zanim nas zbiorą żeńcy,
na — słomę, i cisną w ogień...

Sługi nieużyteczne... Sługi
[nieużyteczne...

Źdźbło

Pod jesień chłodniejsze wieją wiatry,
barwi się jeszcze liść nie opadły
od zieleni przez czerwień do żółtości ostatniej.

Wieje od naszych jesiennych, tak dawno boleśnie
[znanych,
wieje od naszych tęskniących, od wygnanych...
(Piołun i popiół z pajęczyną na rany!...)

Położyć by choć źdźbło na ten wiatr zachodni:
niechże wieje wolniej i łagodniej...
Oni — jak my, my — jak oni... Wszyscy podobni.

SPRAWY DO ZAŁATWIENIA

STEFAN CHANIEC-CHANACHOWICZ

SESJA Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych rozpoczyna się co roku — taki to już zwyczaj — w trzeci czwartek września. W tym roku ten trzeci czwartek przypadł na dzień 17 września. Jednakże termin rozpoczęcia tegorocznej sesji Zgromadzenia Ogólnego NZ został odroczony. Pierwotnie do 10 listopada, następnie — i chyba już ostatecznie — do 1 grudnia. O przesunięcie terminu zwrócili się do Sekretarza Generalnego ONZ, U Thanta, przedstawiciele 67 należących do ONZ krajów, czyli o dziesięć więcej niż połowa członków tej organizacji — a wniosek o odroczenie sesji wymaga przynajmniej połowy.

Ale przecież nie sama technika, nie szczegóły proceduralne związane z kalendarzem ONZ-owskim są tu najistotniejsze. W gruncie rzeczy chodziło mi o przypomnienie faktu, że społeczność międzynarodowa uznała w tym roku za celowe odroczyć początek obrad Zgromadzenia Ogólnego NZ. Postanowienie to wynikło z przeświadczenia, że obrady będą bardziej owocne, jeśli dwa kraje należące do tej organizacji, będące w dodatku stałymi członkami Rady Bezpieczeństwa, będą już miały wybory poza sobą. Chodzi o Stany Zjednoczone i Wielką Brytanię. Zbędne tu podkreślać, jak mało oczekiwać by można było od delegacji, która nie wiedziałaby, jaka będzie jutro administracja: nadal demokratyczna, czy republikańska? Która nie wiedziałaby, jaki będzie jutro rząd: nadal konserwatywny, czy labourzystowski? Nie znaczy to, oczywiście, że delegaci tych krajów — gdyby sesja rozpoczęła się normalnie we wrześniu — nie zabieraliby głosu. Wytrawny dyplomata zawsze potrafi coś powiedzieć, ale pamięta przy tym o żelaznym kanonie, że w niejasnych sytuacjach nie należy się zbyt jasno wyrażać. Ale że o załatwieniu sprawy decyduje nie zabranie głosu, lecz zajęcie stanowiska — postanowiono tegoroczną sesję odroczyć.

Odroczeniu zresztą uległa nie tylko sesja Narodów Zjednoczonych. Nie jedyne to przecież forum, na którym toczą się rozmowy między narodami, a już na pewno nie tylko tam odbywa się dialog między Wschodem i Zachodem, w którym to dialogu — jeśli o Zachód chodzi — Stany Zjednoczone i Wielka Brytania odgrywają rolę pierwszoplanową. Więc i na tym poza ONZ-owskim polu działań międzynarodowych zaobserwować można było na przestrzeni dobrych kilku miesięcy poprzedzających wybory za Atlantykiem i za Kanałem La Manche — atmosferę wyczekiwania. Nie znaczy to, że kraje socjalistyczne wycofały którąkolwiek z uprzednio wysuniętych propozycji dotyczących unormowania tej czy innej sfery stosunków międzynarodowych, ale nie było też w tym okresie usilnego przypominania i forsowania tych propozycji. Nie znaczy to również, że w obu tych oczekujących wyborów krajach zagadnienia międzynarodowe, a zwłaszcza sprawy ułożenia stosunków Wschód — Zachód, w okresie tym w ogóle zniknęły z porządku dziennego. Tak przecież nie było. Rzecz jednak w tym, że zamiast praktycznego ustosunkowania się do poszczególnych problemów, a zwłaszcza do wysuniętych przez nas konkretnych propozycji, słyszeliśmy raczej międzypartyjne dyskusje na temat zasad polityki zagranicznej.

W Anglii dyskusje te przebiegały spokojniej. Nie dlatego, że w Eton, w Cambridge czy Oxfordzie uczą lepszych niż w Arizonie manier, ale dlatego, że w wypadku zwycięstwa labourzystów Anglie mogło oczekiwać co najwyżej pogłębienie tylko polityki porozumienia na linii stosunków Wschód — Zachód, polityki — nie

(Dokończenie na str. 8)

METRYKI LUDZI I RZECZY

ZBIGNIEW ZIEMBOLEWSKI

1.

KIEDY to było? W czterdziestym czwartym, piątym, szóstym, a równie dobrze mogło być w siódmym. Od Przemyśla przez Jarosław, Rzeszów, Dębicę biegły do Krakowa dwie pary torów kolejowych... jedne szersze od drugich — radzieckie i polskie.

Dziś tę trasę z zachodu na wschód przejeżdża się w cztery godziny, wtedy mało było kilkunastu. Był luty, a może pierwsze dni marca. W każdym razie było zimno. Podróżni grzali się ciepłem własnych ciał. W wagonie śmierdziało potem, brudem, cebulą i powojenną nędzą. Tą chyba najwięcej. Byliśmy nią przesiąknięci wszyscy — ty i ja również. Zresztą mieliśmy wtedy szczęście. Jakiś uczynny kolejarz przyniósł w Krakowie naręcze drewna i kilka kawałków węgla. Wystarczyło tego do Tarnowa. Potem trzeba było łamać płoty podczas długich postojów.

„Osobówki" nie spieszyły się. Zielone semafory otwierały drogę pociągom towarowym i wojskowym transportom. Z Niemiec wracali do ojczyzny radzieccy żołnierze. Śpiewali i tańczyli w takt rozkołysanych wagonów. Mijane stacje straszyły poczekalniami bez szyb w oknach. Ludzie wsiadali i wysiadali, tłoczyli się, wymyślali sobie soczyście, gramolili się nawet na dachy, choć zimno tam musiało być niesamowite. Nie dla dzisiejszych pasażerów takie podróże. Naród był wtedy zahartowany, gorsze przecież wytrzymał.

Jechałeś tą trasą po raz pierwszy w życiu. Nic ci się nie podobało. Drwiłeś po cichu ze stolicy województwa wyglądającej bardzo prowincjonalnie. Jedynie o stacji w Żurawicy powiedziałeś — ładna! Była większa od wszystkich mijanych, miała kilkanaście torów i duży, nowy budynek stacyjny. Przyjedź tu dziś, oceń! Policz tory, zmierz ich długość, porachuj wagony, pociągi, zobacz rampy przeładunkowe, przypatrz się pracy dźwigów, odmrażalni rudy, porozmawiaj z ludźmi, może nawet z tymi samymi, których wtedy widziałeś zmizerowanych, w połatanych kapotach, głodnych.

Na murach stacji w Przemyślu widniały nie zmyte przez deszcze, nie zamazane pędzlem malarza, napisy: „Na Berlin!" — po rosyjsku i po polsku: „Trzy razy tak, Polaka znak!" Jedne i drugie jednakowo czerwone, z dala widoczne. A obok tablice informacyjne, często z błędami ortograficznymi: Powiatowy Urząd Repatriacyjny — Rynek 5, Komenda Powiatowa MO mieści się przy ul. Dworskiego, Wojskowa Komenda Rejonowa — Grodzka 5. Milicja mogła ochronić przed rzezimieszkami, w Purze mogli ci dać kartkę na obiad, ewentualnie kilka starych gratów, ostatecznie mieszkanie, w WKR — karabin do walki z UPA. Tu wojna się jeszcze nie skończyła.

Zamknij oczy. Wywołaj pod powieką obraz tamtych dni naświetlony na siatce ocznej, jak na kliszy. Zrób odbitki i porównaj... W Żurawicy, Przemyślu, Medyce ułożono nowe tory, stanęły nowe domy, nad szynami lśni miedzią sieć trakcji elektrycznej.

Gdy wtedy mijaliśmy Żurawicę, opowiadałeś o stacji towarowej w Gdyni. Imponował ci jej rozmach lat międzywojennych. Obydwaj nie przeczuwaliśmy, że za kilkanaście lat na podprzemyskich polach odległych od Bałtyku o 700 kilometrów wyrośnie jeszcze większy kolos, że będzie tu port... bez morza, bez kropli morskiej wody.

2.

— Od początku? Dobrze, opowiem. Dlaczego właśnie mnie o to pytacie? „Starych" jest tu więcej. Ot, choćby tam... ci z gabloty: Paweł Wambier, Teofil Warunek, Kazimierz Lewicki, Józef Czura, Jan Chrabka, Józef Rogal... Znają historię portu nie gorzej ode mnie. Razem ją tworzyliśmy.

Siedzimy we dwóch w świetlicy Oddziału Robót Ładunkowych w Żurawicy. Za oknem czerwcowy skwar. Słońce leje ołowiem, a tu przyjemny chłód. Mój rozmówca, kolejarz po pięćdziesiątce mówi o braku czasu, nawale pracy zawodowej. W gruncie rzeczy jednak jest zadowolony, że to jego, a nie tamtych pytają o dzieje stacji i ludzi na niej pracujących — tych z wczoraj i dnia dzisiejszego.

Za szkłem pocztówkowe zdjęcie. Na nim człowiek w roboczym ubraniu. Jeden z kilku tysięcy zatrudnionych na Węźle PKP. Z krótkiego podpisu niewiele się dowiesz: przodownik pracy Jan Chrabka i tyle. Nawet nie wiadomo czy towarzysz.

— ...przez kilkanaście lat pracy na żurawickiej rampie przeładował 340 pociągów towarowych. Tak, tak. Trzysta czterdzieści pociągów. Nie pomylcie z wagonami... pociągów. Józef Czura (w gablocie ten z prawej) dobija do 400 pociągów rudy, zboża i maszyn.

— Pierwsze zboże przeładowaliśmy w październiku 1947 roku. Przesypywano je z wagonu na wagon szuflami, noszono w workach i wiadrach. Nasza firma przeładunkowa nazywała się „Odra". Dlaczego tak właśnie, nie pamiętam — od nas do Odry daleko i ani strumyka w pobliżu... Po roku przeszliśmy pod zarząd CH Hartwig, później przedsiębiorstwa PKS, pod PKP — Przeładownię, przedsiębiorstwo „Port lądowy", KPRŁ i wreszcie Oddział Robót Ładunkowych.

3.

Do gumowego węża, jak do paszczy smoka sypie się zboże. Samo. Smok drży wstrząsany ciągiem ssanego powietrza. W wagonie unosi się pył. Dwóch ludzi podsuwa szuflami ziarno. Wyglądają jak członkowie Klu-Klux-Klanu. Tylko zamiast białych kapturów zaciągnęli na głowy kaprony swych żon.

— Lepsze to od masek przeciwpyłowych. Nie dusi.

Na nic się zdały uczone wywody behapowców. Praktyka ma tu ostatnie słowo i dlatego — maski zostały w magazynach.

Na „płaskiej" dźwig unosi ramię. Naprężają się stalowe liny opasujące dużą, kilkutonową skrzynię. Wewnątrz jakaś maszyna. Na deskach adres odbiorcy: zakład w Lipsku.

— ...przez nasze ręce przeszła niemal cała Nowa Huta, na części oczywiście rozebrana. Teraz mamy dźwigi, a wtedy... na drewnianych lub żelaznych rolkach trzeba było przesuwać. Wolniutko, cal po calu, by towaru nie uszkodzić i człowieka nie zabić.

Robota była ciężka. Widzieliście, jak kruszy się kilofami zmarzniętą na kamień rudę?... Nie dziś, oczywiście, teraz mamy odmrażalnię. Ale wtedy w czterdziestym siódmym i pięćdziesiątym. Chociaż i teraz nie takie to proste. Stoisz bracie na rozgrzanym wagonie, ruda paruje, bije ci gorącem w nogi, ręce, twarz, a z wierzchu, na plecy śnieg sypie i mroźny wiatr zacina. Lepsze to jednak od kucia. Przy tamtej robocie nie zarobił. Bywało, że czterech ludzi cały dzień miało co robić z jednym wagonem. Ręce mdlały z wysiłku, lecz nie stawaliśmy... ambicja nie pozwalała. Przyjeżdżali z hut i prosili: Dawajcie rudę. Więcej! Czekamy! Tylko jeden, jedyny raz w ciągu 17-letniej historii przeładowni trzydziestu ludzi się zbuntowało i zeszło z wagonów przed czasem. Nie pomogła osobista interwencja wiceministra. Przyjechał salonką... i może właśnie dlatego do roboty nie stanęli.

4.

Hurko. Z pociągu wysiadają kolejarze, pracownicy przeładowni, mechanicy, monterzy, ludzie od łopaty i inżynierowie. Jest ich dużo, bardzo dużo. Może pięciuset, a może więcej. Rozchodzą się w różnych kierunkach. Giną w budynkach, na międzytorzach, wśród wagonów, hałd rudy i węgla. Pod nogami chlapie błoto, woda przecieka do butów. Ziemia tu czerwona. Nad głową tory estakady i żelazne konstrukcje suwnic dźwigowych. Kilkanaście metrów nad ziemią sunie wolno kabina z człowiekiem w środku, a pod nią czerpak z rudą żelaza. Stop! Zatrzymuje się... Brązowo-fioletowe grudy sypią się do wagonów. Pisk lin i kabina rusza w powrotną drogę. I tak od rana do zmroku, a jak trzeba również w nocy.

O kilkanaście torów dalej temat fotograficzny na plakat o działalności RWPG: radziecką rudę ładuje na polskie wagony koparka produkcji CSRS, kierowana sprawną ręką polskiego operatora, Franciszka Majewskiego. Potężny czerpak wbija zęby w fioletową ziemię, unosi ją w górę, zatacza półkole i sypie do wagonu. Za jednym zagarnięciem 6 do 8 ton. Nie byle co! Dwa obroty i wagon pełny. Hałda rudy maleje. Nie na długo. Na wysoką estakadę wtacza się długi skład wagonów. Otwierają boczne klapy i z szumem wali się w dół nowa porcja surowca dla Nowej Huty, dla Częstochowy i innych hut.

Robotnicy opróżniają wagony. Mają czerwone twarze, ręce, ubrania. Są zmęczeni. Ten i ów owinął usta chustą. Pierwiastek o symbolu chemicznym Fe na zdrowie płucom nie wychodzi.

Mijają minuty, a może godziny. Górą przetacza się głuchy stukot dziesiątka zderzaków, potem gwizd radzieckiej lokomotywy, przypominający okrętową syrenę i pociąg oddala się w kierunku granicy.

Gramolę się na dach budynku administracyjnego. Stąd widać wszystko jak na dłoni: tory i wagony, dźwigi, budynki odmrażalni, rampy przeładunkowe. Pode mną, na którymś tam piętrze ,siedzi sztab kierujący ruchem całej stacji. Zajeżdżają i odjeżdżają pociągi. Jedne suną powoli — w głuchym stukocie kół i sapaniu lokomotywy daje się wprost odczuć ich ciężar. Inne pędzą szybko dzwoniąc żelastwem. Las semaforów i lamp.

Naczelnik stacji, Mieczysław Jaroń, rozmawia telefonicznie ze swym kolegą po fachu, radzieckim kolejarzem z Mościsk, Fiodorem Wiśniewskim. Uzgadniają harmonogram prac.

— ... Jutro dajecie dwanaście pociągów z Krzywego Rogu? W porządku! Na razie, cześć!

Jeden mówi po polsku, drugi po rosyjsku. Rozumieją się jednak znakomicie. Od czasu do czasu spotykają się na którejś z przygranicznych stacji, obojętnie po której stronie. Postawią „czystą", lub „moskiewską". Każdy chwali napój sąsiada, choć obydwa są jednakowo czterdziestoprocentowe. Pogadają o pracy, o rodzinach, o kopalniach Krzywego Rogu i naszych hutach.

— ...Stację przeładunkową machnęliście piękną. Pozazdrościć. Prawdziwy port lądowy — mówi z uznaniem Rosjanin. — Wiecie — dodaje. — Po raz pierwszy jechałem tędy w 1945 roku. Wracałem z frontu. Nic tu prawie nie było, dwa tory i tyle.

5.

Medyka. Cztery kilometry od Hurka, trzynaście od Przemyśla, dwadzieścia od Żurawicy. Niby osobna stacja, a tak na prawdę — człon jednego węzła. Za miedzą jest Związek Radziecki.

Kilkanaście razy dziennie unoszą się ramiona semaforów, w nocy zapalają zielone światła. Droga wolna! Z budynków stacyjnych wychodzą dwie grupy ludzi: wopiści i ajenci handlowo-techniczni Polski i ZSRR. Oglądają wagony, przekazują zamknięty w nich towar, rozmawiają z maszynistą Trofimem Pietrowem. Na lokomotywie godło Kraju Rad, skrót nazwy lwowskiej dyrekcji kolejowej i ogromny numer parowozu. Częstują się papierosami. Mówią do siebie po nazwisku lub z imienia. Znają się dobrze. Pietrow już trzy lata prowadzi radzieckie pociągi do Polski. Raz przewozi rudę, a innym — ropę, oleje lub maszyny. Zabiera węgiel.

Odprawa skończona. Wszystko w porządku. Celnicy i ajenci wracają do swych biur uzupełnić papierkową robotę. Pociąg czeka na zmianę parowozu. W cysternach ropa z okolic Borysławia. Pojedzie do jednej z podkarpackich rafinerii. Maszynista obchodzi parowóz. Postukuje kluczem, coś dokręca. Jego pomocnik, dwudziestoletni chłopiec, palaszuje z apetytem pończoszorek. U dyżurnego ruchu dzwoni telefon. Kolejarz przesuwa dźwignię sygnałów. Mościska awizują następny skład. Tym razem jedzie ruda dla hut NRD.

Od strony wsi, w kierunku stacji podążają grupki ludzi. Za 16 minut pojadą pociągiem osobowym do Przemyśla. Idę z nimi. W kasie kupuję bilet... To przecież już nie lata czterdzieste. Zmienili swój stosunek do kolei państwowych pasażerowie, inaczej traktują swoją służbę konduktorzy. A poza tym, czy to by wypadało — elektrycznym i na gapę!

ROZMOWY
złotą jesienią haftowane

JERZY DOSTATNI

Gdybym był malarzem lub poetą, zapewne każdą jesień spędzałbym w Kazimierzu nad Wisłą. Sama rzeka o tej porze roku nie jest specjalnie atrakcyjna, chociaż w połączeniu z janowieckimi ruinami zamku, czy widniejącymi na drugim brzegu urządzeniami kamieniołomu, stwarza widoki godne pędzla dobrego pejzażysty. Wolę jednak niepowtarzalny, malowany złotem, brązem i zielenią urok wąwozów. Idę jednym z nich. Wąska, ginąca jeszcze niedawno w piaskach dróżka jest dziś poszerzona, obramowana chodnikiem, utwardzona kamieniem. Gwałt nad naturą czy uprzystępnienie tej natury większej niż dotąd ilości ludzi? Spór trwa od wieków wszędzie tam, gdzie w piękno krajobrazu wkracza cywilizacja.

Kilkaset metrów biegnących pod górę zakrętów i oto spoza sztucznie przekopanego uskoku wyrasta niespodziewanie piękny budynek. Wielkie tafle szkła migotliwie tańczą w pocałunkach wschodzącego słońca. Pod nimi geometryczne figury ścian, wykładanych białymi płytami kazimierskiego kamienia. Jakże harmonijnie połączone, stopione w jedną plastycznie całość — nowoczesna architektura i zabytkowa tradycja tego uroczego miasta renesansu i gotyku. Niedawno otwarty Dom Dziennikarza to bez wątpienia jeden z najpiękniejszych budynków wzniesionych w ostatnich dziesięcioleciach nie tylko na Lubelszczyźnie. Walory podkreśla jeszcze wyjątkowo wysoka jakość robót budowlanych i piękne wyposażenie, wspaniała obsługa i znakomita kuchnia. Natryski przy każdym pokoju, sala z autentycznym kominkiem, podziemne „Piekiełko" z barmanem znającym obce języki, zalane słońcem tarasy, otoczone bajecznie kolorowymi wieńcami drzew...

Niestety czas dwudniowych obrad jest ściśle odmierzony. Tyle, że zarówno urok miejsca, jak i dawno już nawiązane sympatie i przyjaźnie z miejsca przekształcają oficjalną naradę w przyjacielskie rozmowy, błyskotliwe wystąpienia, dyskusyjne spięcia. Uczestnikami są działacze kulturalni z województw białostockiego, kieleckiego, lubelskiego i rzeszowskiego, organizatorem Komitet Wojewódzki Stronnictwa Demokratycznego w Lublinie. Oczywiście są również przedstawiciele PZPR, ZSL i władz administracyjnych. A także delegaci władz naczelnych Stronnictwa Demokratycznego, albowiem wysunięte tu wnioski zostaną przedstawione na niedalekim kongresie SD.

Najpierw więc krótki bilans dotychczasowej współpracy. Międzywojewódzka unia to rzecz bez precedensu w naszym kraju. Oto kilka plusów: spotkania działaczy kulturalnych, bibliotekarzy, architektów, aktorów, publicystów kulturalnych, kilka seminariów socjologów, nauczycieli, młodej inteligencji, w ostatnim czerwcu konferencja naukowa w sprawie koordynacji terenowej. Można by tych plusów wymienić znacznie więcej, gdyby chodziło tylko o pochwały. Dyskusja obraca się jednak raczej wokół braków.

I oto na pierwszym miejscu „Kamena". Wszyscy pozytywnie oceniają jej przemianę na tygodnik społeczno-kulturalny, dużą ilość materiałów z innych niż lubelskie województw, ułatwianie debiutów młodym z 4 województw. Ale potem, w kuluarowych rozmowach, pewna pretensja Białostocczyzny: zbyt mało o nas, problemy drugorzędne przeważają nad najważniejszymi.

Wydawnictwo Lubelskie też zbiera pochwały. Ale w pokaźnym jego dorobku tylko dwie pozycje kieleckie: almanach poetycki grupy „Ponidzie" oraz tom współczesnych reportaży „Okiennice". Rzeszów ma tylko 3 tytuły: dwa tomiki poetyckie oraz jedną pracę popularno-naukową. Znacznie lepiej wygląda Białystok: tomik

(Dokończenie na str. 7)

UNIWERSYTET WOBEC ŻYCIA

(Dokończenie ze str. 1)

łem koledzy!", usłyszałem gromkie „Czołem obywatelu majorze" i... rozpocząłem wykład".

Niezwykłym człowiekiem w dziejach UMCS, a właściwie w historii szkolnictwa wyższego, był organizator i pierwszy rektor lubelskiego uniwersytetu — prof. dr Henryk Raabe. Postać ta, wciąż żywa wśród pierwszych absolwentów, profesorów, pracowników administracyjnych i w pamięci woźnego, promieniuje we wspomnieniach wielkiej miary mądrością, prostotą, pogodą ducha, a nade wszystko życzliwością i troską o innych. Jakimś szczególnym wyrazem tego są liczne memoriały pierwszego rektora UMCS, który zabiegał o buty i ubranie dla światowej sławy uczonego — prof. Ludwika Hirszfelda i wielu innych naukowców, znajdujących się w tragicznych warunkach materialnych. Tę piękną postać w jakiś sposób także ilustruje znamienna postawa zajęta wobec Harrimana, ówczesnego ambasadora Stanów Zjednoczonych w Związku Radzieckim. Gdy zaproponował on bawiącej w Moskwie delegacji UMCS pomoc w postaci produktów konsumpcyjnych, spotkał się z gwałtownym protestem rektora Raabego:

— Musimy nadrobić opóźnienia, toteż pomoce naukowe są nam bardziej potrzebne od żywności — tłumaczył zdumionemu ambasadorowi.

Prof. dr Henryk Raabe

•

Uczelnia tworzona na przyfrontowych terenach tkwiła od swego zarania w głównym nurcie walki o nowy ustrój społeczny. Jej precedensowe znaczenie znalazło wyraz w fakcie, że dała ona początek rozwojowi nowoczesnego ośrodka naukowego na zaniedbanych dawniej ziemiach tzw. Polski B. Uniwersytet zapoczątkował swą pracą wielki proces usuwania zaniedbań w regionach szczególnie zacofanych w dziedzinie oświaty i kultury. Sięgnięcie swymi wpływami do województw: rzeszowskiego, kieleckiego i białostockiego, wydatnie pomogło w rozwoju tych terenów.

Wyjątkową rolę odegrał UMCS w dziejach Lublina. Prowincjonalny gród wyniósł do rzędu miast odgrywających poważną rolę w kulturze ogólnopolskiej. Lublin zyskał rangę stolicy całej Polski wschodniej, stał się wyrazicielem jej żywotnych interesów. Ta unia czterech województw bodajże najmocniej występuje właśnie w kształceniu absolwentów dyscyplin uniwersyteckich.

W samym Lublinie nastąpił bujny rozwój ośrodka naukowego, biorącego swój początek z UMCS. Miasto stało się siedzibą trzech wyższych uczelni. 8-tysięczna rzesza studentów przydaje Lublinowi młodości i dynamiki, rzutuje na obyczajowość, styl życia, wyraźnie odgradzając się od mieszczańskich zwyczajów i mentalności.

Godzi się wspomnieć i o innej formie oddziaływania uczelni. UMCS pełni w ośrodku międzyuczelnianym rolę czynnika integrującego. Następuje to poprzez wspólne wydawnictwo „Annales UMCS", jak też i patronat nad dzielnicą akademicką.

Miasteczko uniwersyteckie stało się chlubą Lublina nie tylko ze względu na walory architektoniczne, ale także z uwagi na żywy ruch kulturalny rozwijający się wśród akademickiej braci i pracowników uczelni. Centrala tej działalności znajduje się w „Chatce Żaka" — siedzibie licznych klubów, teatrzyków, zespołów, miejscu spotkań z pisarzami, artystami, naukowcami, przedstawicielami życia politycznego.

Koncentrowanie się życia w miasteczku uniwersyteckim, coraz większy jego rozwój i współpraca z Lubelską Spółdzielnią Mieszkaniową, kształtująca nowy typ współżycia społecznego oparty o zasady humanizmu socjalistycznego — to znamienny wyraz zjawiska socjologicznego. Polega ono na przenoszeniu się prężnych ośrodków, grup społecznych i wybitnych indywidualności z konserwatywnego, mieszczańskiego centrum miasta na jego peryferie, głównie południowo-zachodnie.

•

Żyjemy w latach wyraźnego kryzysu uniwersytetów. Rozwój innych uczelni dokonywał i dokonuje się głównie kosztem uniwersytetów, które wciąż tracą określone kierunki studiów. Tak nastąpiło wyodrębnienie akademii medycznych, wyższych szkół rolniczych i szkół ekonomicznych. Obecnie, w poważnej mierze usamodzielniły się dyscypliny pedagogiczne, kształcące nauczycieli w państwowych wyższych szkołach pedagogicznych i studiach nauczycielskich.

Ta „parcelacja" stanu posiadania nie ominęła i UMCS. Uczelnia przeszła wielki wstrząs, który w pewnym okresie bardzo ją osłabił. Z tych procesów stara się jednak UMCS wyjść obronną ręką, szukać dróg obrony uniwersytetu w ogóle. Przykładem może być organizacja seminarium na temat socjalistycznej koncepcji uniwersytetu z udziałem wybitnych profesorów ze wszystkich ośrodków naukowych w kraju. Było to właśnie szukanie przyczyn kryzysu uniwersytetów i zarazem próba obrony, chęć wskazania dziedzin, którymi należy się zająć, aby służyć życiu, szerokim potrzebom społecznym.

Ale oprócz pewnych koncepcji teoretycznych, UMCS wypracował już własny kierunek powiązania spraw uczelni z potrzebami życia regionu. Powstawanie kombinatu azotowego w Puławach, jednej z największych inwestycji przemysłu chemicznego w świecie, skłoniło władze uniwersytetu do zajęcia się problemem kształcenia kadr dla potrzeb puławskiego kolosa. Uniwersytet ma ambicję stania się kuźnią kadr dla przyszłego okręgu chemicznego, jakim będzie Lubelszczyzna. Kombinat azotowy już obecnie wytycza kierunki badań naukowych prowadzonych na UMCS. W niedalekiej przyszłości chemia uniwersytecka będzie musiała się nastawić na rozwiązywanie konkretnych zagadnień produkcyjnych, a inne dziedziny nauk przyrodniczych zyskają wdzięczne pole do badań nad stosowaniem nawozów sztucznych w rolnictwie.

Drugim kierunkiem rozwoju UMCS są nauki społeczne i ekonomiczne. Młoda kadra naukowa, niezbędny warsztat, jakim będzie po wybudowaniu biblioteka, jedna z najnowocześniejszych w kraju, to atuty przemawiające za realnością nakreślonych planów. Już obecnie zresztą trwają wytężone przygotowania do otwarcia w roku akademickim 1965/66 wydziału ekonomicznego. Jego absolwenci dostarczą gospodarce Lubelszczyzny ekonomistów, których brak odczuwamy niemal we wszystkich przedsiębiorstwach i instytucjach. Szerokie kontakty z nauką światową, związek z postępem wiedzy zapewnią uniwersytetowi w dużej mierze katedry filologii obcych. Tłumaczenia zagranicznych publikacji na język polski i odwrotnie, kształcenie nauczycieli języków obcych, tłumaczy, pracowników handlu i służby zagranicznej — to zadania, które stawia sobie uczelnia. Stąd tworzenie obecnie kierunku filologii rosyjskiej, angielskiej, a w przyszłości i innych.

UMCS stara się także wychodzić naprzeciw wielkiej fali wyżu demograficznego, któremu musi odpowiadać nie tylko zwiększona produkcja fabryk, lecz także rozwój wyższych uczelni kształcących specjalistów dla potrzeb gospodarki narodowej. Wiąże się to z planowanym wzrostem w najbliższej pięciolatce liczby studentów, która sięgnie 10 tysięcy osób. Zajdzie konieczność zmiany stosunku liczbowego studentów stacjonarnych do zaocznych. Około 1970 roku relacja ta będzie się kształtować 1:1, gdy obecnie na dwu studentów stacjonarnych przypada jeden student zaoczny. Nauczanie zaoczne zostanie rozbudowane głównie na studiach prawniczych i humanistycznych, natomiast wzrost liczby studentów na studiach stacjonarnych obejmie takie kierunki, jak chemia, fizyka i matematyka.

•

Obok faktów rozwoju uczelni warto zwrócić uwagę na zjawisko na ogół mniej dostrzegane. Na kształtowanie się środowiska akademickiego, pewnej wspólnoty profesorów, asystentów i studentów. Symbolem tego jest życie w miasteczku uniwersyteckim, są wzajemne kontakty, współuczestniczenie we wspólnych pracach społecznych przy porządkowaniu i upiększaniu dzielnicy, która staje się jednym z najpiękniejszych fragmentów miasta. W tej działalności integrującej nie sposób nie zwrócić uwagi na wysiłki, dynamikę i owocność poczynań obecnego rektora UMCS — prof. dr Grzegorza L. Seidlera. Jest on postacią niezwykle popularną nie tylko wśród braci studenckiej i grona naukowców. Swą postawą i pozycją uczelni umiał zdobyć szacunek społeczeństwa dla UMCS. Uniwersytet stał się określonym ruchem społecznym, którym żyją mieszkańcy Lubelszczyzny i innych regionów, uczestniczący w coraz większym stopniu w wielkim nurcie dążeń do podnoszenia kwalifikacji, zdobywania wyższego wykształcenia, czerpania z dorobku nauki.

Romuald Karaś

Pochód 1-majowy 1945 r. Na przodzie rektor UMCS prof. dr Henryk Raabe i uczony światowej sławy prorektor prof. Ludwik Hirszfeld.

ŚWIĘTO EXLIBRISU

JERZY BUTWIŁŁO

JEST taki rodzaj namiętności kolekcjonerskiej, o którym się u nas mało wie, a i chyba trudno mówić o jego szerokim rozpowszechnieniu. Wymaga nie tylko pasji, ale i głębszego, wykształconego smaku i znawstwa. Związany tematycznie z książką, cieszy się powodzeniem przede wszystkim między bibliofilami. Tą namiętnością zbieraczą są exlibrisy. Pozwólcie, że przypomnę.

Polska należy do krajów, w których spontaniczny ruch bibliofilski i miłość do pięknej książki sięgają średniowiecza. Posiadamy wspaniałe przykłady prawdziwych bibliofilów okresu renesansu i baroku, nie brakowało ich także w XVIII i XIX wieku. Dopiero jednak po pierwszej wojnie światowej w Krakowie, w roku 1922 zrzeszają się bibliofile po raz pierwszy w oficjalne Towarzystwo Miłośników Książki. Tutaj też w Krakowie w r. 1923 odbywa się I polski zjazd bibliofilów, a podobne stowarzyszenia powstają w Warszawie, Poznaniu, Lublinie i innych miastach Polski. W rok później obraduje w Warszawie II krajowy zjazd bibliofilów, a czwarty z kolei zwołano do Poznania. Postępujący kryzys ekonomiczny w latach trzydziestych osłabił ruch bibliofilski, ale go nie zahamował. W łonie krakowskiego Towarzystwa Miłośników Książki powstała też właśnie wtedy oryginalna myśl: ustanowienia Kapituły Orderu „Białego Kruka" pod przewodnictwem Wielkiego Mistrza Kazimierza Witkiewicza — założyciela Towarzystwa. Order Białego Kruka nabrał cech oficjalności w r. 1934, gdy za zezwoleniem ówczesnego Ministerstwa Spraw Zagranicznych udekorowano nim wielkiego bibliofila Francji — Henryka Barthou.

Po drugiej wojnie światowej Ministerstwo Spraw Zagranicznych Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej potwierdziło oficjalność orderu zezwalając w r. 1962 na dekorację zasłużonego bibliofila francuskiego André Herry na IX Światowym Kongresie Exlibrisu w Paryżu, a niedawno 12 września br., odznaki Białego Kruka otrzymali dwaj Włosi, kolekcjonerzy i teoretycy bibliofilstwa — dr Gianni Mantero z Como, inicjator międzynarodowych kongresów exlibrisu, i dr Salvatore Bono z Rzymu, wydawca czasopisma „Grafica" — nawiasem mówiąc — zawsze otwartego dla dobrej informacji o współczesnej polskiej grafice. Wspominając tę uroczystość warto dodać, że dekoracji dokonał prorektor Uniwersytetu Jagiellońskiego Kazimierz Wyka, upoważniony przez chorego Kazimierza Witkiewicza, Wielkiego Mistrza Kapituły Orderu.

Akt dekoracji był tylko fragmentem programu X Międzynarodowego Kongresu Exlibrisu, który właśnie w tym czasie obradował w Krakowie. Uczestniczyło w nim około 150 zainteresowanych osób z całej Europy, a organizatorem Kongresu z ramienia Ministerstwa Kultury i Sztuki był dr Tadeusz Przypkowski, dyrektor Muzeum Zegarów Słonecznych w kieleckim Jędrzejowie, także bibliofil, kolekcjoner exlibrisów, a nawet ich twórca. Sam Kongres zlokalizowano w lokalu o niezawodnej aurze: piwnicach Krzysztoforów.

Bibliofile i exlibrisiści — jak wszyscy rasowi zbieracze — wszędzie znajdą warunki dla swojej sprawy, ale tło, jakie im stworzono w Krakowie, było wspaniałą prezentacją i tematu i organizacji. Aż w sześciu pomieszczeniach urządzono wystawy exlibrisowe: super-exlibrisu na Wawelu i w Muzeum Narodowym, międzynarodową — w Krzysztoforach i Pałacu Sztuki, exlibrisu polskiego — w zbiorach Biblioteki Jagiellońskiej oraz exlibrisów z kolekcji Przypkowskich. Tę obszerną ekspozycję zaprezentowano gościom już w Jędrzejowie. Naukowy charakter Kongresu podkreśliły referaty wygłoszone przez teoretyków grafiki ilustracyjnej — włoskich, francuskich, niemieckich i polskich. Najważniejszą jednak częścią Kongresu były obrady organizacyjne, które odbyły się w imponującej oprawie zabytkowej Sali Senatorskiej na Wawelu, przy czym przedstawiciele organizacji bibliofilskich i exlibrisowych wystąpili tu po raz pierwszy wspólnie. Chodziło głównie o utworzenie stałej międzynarodowej organizacji, łączącej artystów i kolekcjonerów, miłośników exlibrisu i grafiki książkowej.

Ponieważ według zaleceń UNESCO organizacja taka może powstać jedynie jako sekcja utworzonego już Międzynarodowego Stowarzyszenia Bibliofilów, nieodzowne stało się podjęcie pewnych prac organizacyjnych w gronie miłośników księgoznaku na terenie całego świata, między innymi dla ustalenia światowej listy exlibrisistów.

(Dokończenie na str. 7)

Autor: Mods Stage, Kopenhaga (Exlibris specjalnie do dzieł Turgieniewa)

ŚWIĘTO EXLIBRISU

(Dokończenie ze str. 6)

Zebranie tych właśnie informacji powierzono Państwowemu Muzeum im. Przypkowskich w Jędrzejowie, co odnotowujemy z patriotyczną satysfakcją. Niezależnie od tej akcji, niejako inwentaryzacyjnej, postanowiono powołać komisję organizacji exlibrisowych, która wejdzie jako wspomniana sekcja do Międzynarodowego Stowarzyszenia Bibliofilów pod opiekuńcze skrzydła UNESCO. W skład komisji weszli przedstawiciele Czechosłowacji, Francji, Polski, Szwajcarii i Włoch. Ponieważ na wniosek dr Przypkowskiego, jeszcze podczas VII Kongresu w Wiedniu, Kongresy Exlibrisu mają odbywać się na przemian w krajach kapitalistycznych i socjalistycznych, jako miejsce następnego XI Kongresu wybrano Hamburg, reprezentowany przez prezesa Niemieckiego Towarzystwa Exlibrisu dr Gerharda Kreyenbarga.

Tyle o części oficjalnej kongresu. A o nieoficjalnej? Po pierwsze — wymieniano exlibrisy, po drugie — wymieniano exlibrisy, po trzecie — oczywiście wymieniano exlibrisy... Nieprawdopodobne tylko dla tych, którzy sami niczego nie zbierają.

Może warto jeszcze powiedzieć kilka słów o samym exlibrisie, nazywanym również księgoznakiem. Drobna ta kompozycja graficzna z wmontowanym w nią nazwiskiem właściciela książki, wklejana najczęściej na wewnętrznej stronie okładki, nie tylko zastępuje podpis, pieczeć i wizytówkę właściciela, ale równocześnie stanowi ozdobę książki. Mamy w kraju niemałą grupę artystów grafików z pokaźnym dorobkiem artystycznym w tej dziedzinie twórczości, a nawet może ze swego rodzaju doskonałością, żeby wymienić tutaj takie nazwiska, jak: Konstanty Sopoćko, Ryszard Krzywka, Wojciech Jakubowski, Krystyna Wróblewska czy Adam Miodzianowski.

Coś jeszcze: exlibris nie jest bynajmniej kolekcjonerstwem bogaczy. Autor niniejszego miał okazję przekonać się o tym na Kongresie krakowskim, na którym wystąpili przedstawiciele rozmaitych zawodów, od ekspedientki sklepowej, listonoszy, drukarzy do profesorów wyższych uczelni, lekarzy, literatów, oficerów i aktorów.

Współczesny exlibris polski, podobnie jak i inne formy grafiki, cieszy się w świecie dużym uznaniem i sławą, nasze sukcesy na poprzednich kongresach w Paryżu, Wiedniu i Lipsku przyczyniły się walnie do wyboru Polski na organizatora tegorocznego Kongresu, a w kołach exlibrisowych Europy odgrywamy od kilku lat poważną rolę.

W minionym dwudziestoleciu odbyło się w Polsce w różnych miastach i przy rozmaitej okazji blisko 50 ekspozycji tych drobnych form graficznych, w tym dwukrotnie w Lublinie — przed siedmioma laty z okazji 50-lecia Biblioteki Publicznej im. Hieronima Łopacińskiego („Exlibris Lubelski dawny i nowy") oraz w 58 r. na wystawie grafiki użytkowej Henryka Zwolakiewicza w Lubelskim Domu Kultury. Niestety — o ile mi wiadomo — wystaw exlibrisów nie pokazano dotychczas mieszkańcom Kielc, Białegostoku i Rzeszowa.

Prywatnych miłośników pięknej książki i kolekcjonerów przybyło nam w ostatnich latach niewspółmiernie więcej, niż było ich w całym dwudziestoleciu międzywojennym, to samo można powiedzieć o stanie bibliotek państwowych i wysokości nakładów wydawniczych. Czy z kolei ambicją zarówno społecznych, jak i prywatnych posiadaczy książek, nie powinno być legitymowanie się artystycznym znakiem własnościowym?

Jerzy Butwiłło

ROZMOWY złotą jesienią haftowane

(Dokończenie ze str. 5)

poezji, almanach poetycki, powieść, tom opowiadań, kilka prac naukowo-popularnych.

Ale w sumie, gdy przeliczyć wszystko na arkusze wydawnicze, Lublin zagarnął sobie ok. 85 procent. Oczywiście nie może być mowy o tym, aby tytuły, czy arkusze przydzielać województwom według ich obszaru, czy liczby ludności. Decydować musi wartość literacka i społeczno-polityczna. Oraz to, co znajduje się w tece wydawcy. Nie było z tym dotychczas dobrze. Ale zapowiada się znaczna poprawa. Wydawnictwo ma już rękopisy prozy Babinicza, Kraśki, Sokoła, Willmera, kilka tomików poetyckich — w tym bardzo cenny zespół poezji ludowej poetów Gór Świętokrzyskich, czekają na wydanie monografie, są albumy martyrologii, dokumenty ruchu oporu, pamiętniki i przewodniki. W ciągu 2 najbliższych lat Wydawnictwo Lubelskie powinno rzeczywiście stać się wydawnictwem 4 województw.

Gorzej z prasą i radiem — poza sprawami kultury. Oto jeden z dziennikarzy skarży się, że w czasie 15-letniej pracy w Lublinie zwiedził wszystkie województwa w Polsce, a z sąsiednich tylko białostockie. I to z inicjatywy władz centralnych. Przez Kielce i Rzeszów tylko przejeżdżał nocnymi ekspresami. Odwrotnie sytuacja wygląda tak samo. Radia lubelskie i białostockie spotykają się na jednej fali tylko w wyniku zarządzeń administracyjnych.

Z długiego rejestru omawianych spraw wyławiam hasło „Szkoła ośrodkiem życia kulturalnego i społecznego w środowisku". Realizacja dała duże rezultaty w każdym województwie. Ogromna większość czynnych tu ludzi to nauczyciele, których — jak potwierdzają wszyscy — już nie zmusza się do organizowania skupu, czy uczestniczenia we wszystkim, co się dzieje, lub powinno dziać we wsi. Ale w tej chwili jeden z dyskutantów pyta: kto to jest właściwie człowiek kulturalny? Okazuje się, że pytanie wcale nie jest banalne. No bo my, humaniści, powiemy: to ten, kto zna literaturę i sztukę, kto odczuwa muzykę i rozumie przyrodę. Ba — w takim razie inżynier, czy technik, który tak samo zna mechanikę, czy energetykę, jak inny literaturę i sztukę, nie jest człowiekiem kulturalnym? Inżynier rozprawia z łatwością o metodzie Brinella, czy kotłach Bensona, ale o Brechcie może powiedzieć tylko dwa zdania. Humanista zna nawet nieprzystojne plotki o Wyspiańskim, zna się na obrazach Picassa i krytykuje Hesse-Bukowską — ale o metodzie Brinella jako żywo nigdy nic nie słyszał. I kogo tu nazwać bardziej kulturalnym, jeżeli żaden z nich nie pluje poza spluwaczkę, a obaj jednakowo dobrze licytują i rozgrywają wielkiego szlema?

Stąd już tylko jeden krok do propozycji, aby do domów kultury, do nowych szkół-ośrodków, klubów „Ruchu" i klubo-kawiarni znacznie częściej, niż dotąd zapraszać z prelekcjami i pokazami inżynierów i techników, lekarzy i farmaceutów, ekonomistów i socjologów. Dla obopólnej korzyści. Istnieją przecież w wielu miejscowościach niewidoczne, ale nieraz trudne do przekroczenia bariery środowiskowe. Może raczej bariery zawodowe. Niegdyś taką barierą otaczali się ksiądz i pleban, aptekarz i bogaty kupiec. Dzisiaj takie bariery istnieją nieraz wokół ludzi budujących jakąś fabrykę, lub już nią zarządzających. Mniejsza o to, kto taką barierę pierwszy zainstalował. Ważne, kto ją pierwszy podniesie. Lepiej: zniszczy.

Przedstawiciel Pińczowa powiada, że w okresie Roku Ziemi Kieleckiej zorganizowano festiwal zespołów artystycznych z 4 sąsiednich powiatów. Wprawdzie WRN musiała do tego później dopłacić 30 tys. zł, ale to nic nie szkodzi. Pozostała zaś rzecz trwała: dalsza współpraca tych powiatów, już także w innych dziedzinach. A może wzorem tego festiwalu nawiązać stałą współpracę przygranicznych powiatów 4 województw? Kulturalną i gospodarczą? Tu wtrąca się Białystok: u nas już jest coś takiego. Razem z południowymi powiatami Białostocczyzny i wschodnimi województwa warszawskiego zabieramy się do wybudowania wspólnymi siłami telewizyjnej stacji przekaźnikowej. Bo w tej części Podlasia nie można oglądać ani Warszawy, ani Lublina, ani Białegostoku. Chyba już w przyszłym roku zaczną się roboty w Białej Podlaskiej.

Tu ktoś z Lublina powiada tak: stolice naszych województw, bogatsze w pieniądze i różne możliwości, nawiązują współpracę i wymianę doświadczeń z miastami zagranicznymi. Czy miasta powiatowe nie mogłyby tego zrobić w ramach 4 województw? I zaraz pada konkretna propozycja: Suwałki oraz Zamość. To oczywiście tylko projekt — realizacja należy do władz administracyjnych obu miast. Które z nich pierwsze podejmie wezwanie?

Drugiego dnia obrad dotykamy spraw finansowych. Wypływa sprawa komisji koordynacyjnych. Jakże różne są doświadczenia. Delegat z Jarosławia powiada, że rzeszowska Wojewódzka Komisja Porozumiewawcza istnieje tylko z przyzwyczajenia. Natomiast powiatowe zostały przed rokiem oficjalnie — uchwałą WRN — rozwiązane. Sprawami inwestycji zajęły się tylko wydziały kultury rad narodowych oraz związki zawodowe. W 10 miasteczkach — Brzozowie, Kolbuszowej, Przeworsku, czy Ropczycach — tworzy się ogólne ośrodki kultury, są plany działania oraz inwestycji na następną pięciolatkę. Na Lubelszczyźnie bywa różnie. Jedne komisje rozleciały się, inne podejmują uchwały — ale nikt nie chce ich wykonać, bo sprawa opiera się na dobrowolności. Ale np. w Chełmie dzięki tej właśnie komisji zebrano pokaźne środki na wyposażenie szkół do pracy kulturalnej. W województwie białostockim też różnie bywa. A ktoś z Rzeszowa znów powiada tak: nasza komisja koorynacyjna liczy 15 osób, sami dyrektorzy i prezesi. Niby skład jednostronny, ale przecież to oni właśnie decydują o pieniądzach w swoich przedsiębiorstwach, czy instytucjach. A na ostatnią naradę przybyło: 3 dyrektorów, 3 głównych księgowych, 2 magazynierów, 5 pracowników straży przemysłowej, 2 pracowników zaopatrzenia. No i jak tu podjąć jakąś decyzję, gdy 9 uczestników zasłania się brakiem odpowiednich pełnomocnictw, gdy nawet dyrektorzy uzależniają swoje stanowisko od zgody swoich głównych księgowych, a obecni główni księgowi od swoich, ale też nieobecnych na zebraniu dyrektorów?

Przykłady — trochę dobrych, dużo złych — sypią się jak z rękawa. Dochodzi do ostrych polemik i spięć. Komisja wnioskowa decyduje się wreszcie na takie mniej więcej sformułowanie: trzeba wystąpić do władz centralnych, aby komisje koordynacyjne, które powstały tylko na podstawie dobrowolnego porozumienia między Ministerstwem Kultury a związkami zawodowymi, otrzymały wreszcie ustawową sankcję, aby ich uchwały były obowiązujące, a nie wypełniane tylko wtedy, gdy się to jakiemuś prezesowi, czy głównemu księgowemu podoba. Wniosek jednak, mimo żarliwej obrony przez część zebranych, nie został uchwalony. Twierdzono, że ograniczałby samodzielność przedsiębiorstw i spółdzielni. Moim osobistym zdaniem formalnie tak, ale chyba nie byłoby z tego powodu dziury w niebie. Wycieczek samochodowych na mecze sportowe, urozmaicanych często alkoholowym totalizatorem, nie zaliczalibyśmy wtedy do działalności kulturalnej.

Doświadczenia Sanoka doprowadziły do postawienia pytania, jakiego rodzaju pracę ma prowadzić Powiatowy Dom Kultury: środowiskową czy instruktażową? W Sanoku powiedziano sobie: instruktażową wobec wszystkich placówek kulturalnych w powiecie, ale instruktaż nie może być teoretyczny, lecz oparty na doświadczeniach własnej pracy środowiskowej. Kłopot był tylko z opiekunami, czyli radą społeczną. Najpierw składała się ona z dyrektorów. Ale dyrektorzy przysyłali w zastępstwie swoich pracowników różnych specjalności i zainteresowań, a potem nie mieli czasu, albo nie chcieli, rozmawiać z nimi na tematy kultury chociażby 5 minut. Więc zamieniono dyrektorów na prawdziwych działaczy kulturalnych. Rada dzięki różnym imprezom miała własne pieniądze, finansując różne działania PDK nie mieszczące się w kratkach sprawozdań, ale w praktyce bardzo potrzebne. Potem jednak PDK z instytucji dotowanych zmieniły się w zakłady budżetowe, więc pieniądze za imprezy szły już do ich kasy, a rada straciła grunt pod nogami.

Czy rzeczywiście straciła? Czy jedynie na zdobywaniu dodatkowych pieniędzy i to drogą imprez polega jej rola? Oto jeszcze jeden z problemów, które wyłoniły się na kazimierzowskiej naradzie działaczy kulturalnych Stronnictwa Demokratycznego.

Trudno w jednej relacji, która nie chciała być tylko sprawozdaniem, omówić szeroki wachlarz spraw tam poruszanych. Ujęły to przyjęte na zakończenie wnioski, gdzie — oprócz tego, co wyżej — jest mowa o aktywizacji kulturalnej małych miast i miasteczek, amatorskich zespołach artystycznych, prawidłowej współpracy władz administracyjnych z organizacjami społecznymi, ożywieniu działalności towarzystw regionalnych itd.

Jerzy Destatni

20 LAT LUBELSKIEJ URANII

Zaczęło się „za wcześnie". Jeszcze słychać było odległy o 50 km front nad Wisłą, jeszcze po okupacyjnym wycieńczeniu zaspokojenie pierwszych potrzeb nie przybrało rozmiarów średniego dostatku pozwalającego zwrócić myśl ku sprawom „ducha", a już dekretem PKWN z dnia 23.X.1944 r. powołano w Lublinie wyższą uczelnię. Widocznie i nauka jest artykułem pierwszej potrzeby. Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej, której posąg widnieje dziś w Miasteczku Uniwersyteckim, otworzył podwoje 900 studentom.

Podwoje... nie własne. Przymusowo korzystał z gościny gimnazjum Staszica, następnie rozrzucił swoje agendy po wszystkich bez mała dzielnicach Lublina. Kiedy po dwudziestu latach oceniamy stan posiadania pierwszej wyższej uczelni w Polsce Ludowej, widzimy jej awans iście socjalistyczny. Zaczęło się od sublokatorstwa, dziś Dzielnica Uniwersytecka liczy 30 obiektów o kubaturze 277 000 m³, 5 obiektów znajduje się w budowie, a w latach 1965—70 przewiduje się budowę dalszych 19 o kubaturze ponad 244 000 m³. Powstaje ładny kawałek Lublina przeznaczony wyłącznie na cele kształceniowe i naukowe. Kombinat wiedzy.

Statystyka jest nudna, ale przyjrzyjmy się jeszcze rozwojowi uczelni z dwu punktów widzenia: „przepustowości" dydaktycznej i udziału w dorobku polskiej nauki. Liczba 900 studentów w roku 1945 została daleko w tyle. W roku akademickim 1963/4 uniwersytet kształcił 4 191 studentów, a w roku 1963 wypuścił 434 absolwentów, co stanowi 10,4% ogółu studiujących. Dodajmy, że jest to wskaźnik najwyższy w Polsce. W najbliższym pięcioleciu przewiduje się podniesienie liczby studentów o 100%, a więc do 8 000—10 000.

„Annales Universitatis Mariae Curie-Skłodowska". W ciągu 18 lat istnienia wydawnictwo opublikowało 1 800 prac naukowych, prowadzi wymianę z 2 126 instytucjami naukowymi w kraju i za granicą zyskując w ten sposób 3 129 tytułów czasopism. Roczna wartość czasopism otrzymywanych z zagranicy wynosi około 20 000 dolarów.

Pobieżna buchalteria uniwersyteckiego dwudziestolecia nie jest w stanie ująć w bilansie znaczenia UMCS i całego lubelskiego ośrodka akademickiego. Znaczenie to dla nas polega przede wszystkim na kulturalnym awansie naszego regionu. Wśród profesji decydujących o natężeniu ruchu intelektualnego dominuje właśnie nauka. Lubelska plastyka, muzyka, czy literatura mogą jedynie zazdrosnym okiem spoglądać na potęgę zastępów i wyposażenia znajdujących się w służbie lubelskiej Uranii. Czy nie warto przy tej rocznicowej okazji posiać nieco zawiści wśród muz? Doświadczenie wykazuje, że rozwój życia umysłowego odbywa się tą właśnie drogą.

Ale nie tylko pierwszoplanowa pozycja lubelskiego uniwersytetu wśród placówek umysłowego ruchu jest godna podkreślenia. Również jego przystosowanie do wymagań środowiska. W ogóle w Polsce nie uprawiamy bezinteresownego kultu wiedzy, ale uczelnia nasza specjalnie blisko koresponduje z potrzebami wojewódzkiej gospodarki. Oczywiście nie o samym UMCS należy tu mówić. Należy włączyć pod baldachim tej sławy i chwały również jego córki — Akademię Medyczną i Wyższą Szkołę Rolniczą. Kooperacja nauki z praktyką osiągnie swój najewidentniejszy wyraz wtedy, kiedy z fundacji Zakładów Azotowych w Puławach zostanie wybudowany w Miasteczku Uniwersyteckim gmach Wielkiej Chemii mającej kształcić kadry specjalistów na potrzeby puławskiego kombinatu.

Oto osiągnięcia, oto zamierzenia, oto problemy, z którymi Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej obchodził swoje dwudziestolecie. Było to wielkie święto nauki w naszym mieście. Zaszczycone obecnością przedstawicieli najwyższych władz państwowych. Wzbogacone udziałem lubelskiego społeczeństwa, które gremialnie uczestniczyło w czterodniowych uroczystościach. Urozmaicone występami młodzieży zawsze gotowej zamanifestować swój temperament i młodzieńczy rozmach.

Związane z uroczystościami Kozienalia stały się wielkim festynem beztroski, radości tych młodych ludzi, którzy potrafią równocześnie gaudere i laborare. Cóż, mamy tych studentów coś koło siedmiu tysięcy i nie był niespodzianką ich ochoczy żakowski zryw. Toż w północno-zachodniej dzielnicy Lublina na co dzień od nich rojno, gdy śpieszą do gmachów naukowych, pracowni, sal wykładowych. Toż Lublin właśnie stał się szkolną Mekką dla wszystkich młodych ludzi z prawobrzeżnej Polski, którzy pragną zdobyć wyższe wykształcenie. Październikowe święto było też przeglądem sił skłonnych służyć społeczeństwu wyższymi kwalifikacjami, skrupulatniejszym poczuciem obowiązku. Młodość najstarszego w Ludowej Polsce uniwersytetu święciła się w tym jubileuszu otwierającym nowe zamierzenia, nowe perspektywy i horyzonty.

Zygmunt Mikulski

Co robić?

(Dokończenie ze str. 3)

winna być uzupełniona nadaniem jej charakteru świadectwa uprawniającego do wykonywania zawodu — jest postulatem arcysłusznym. Ale matura uzyskana w technikum zawodowym i liceum zawodowym jest przecież już „uzawodowiona". A matura liceum ogólnokształcącego nie może być uzawodowiona w ramach liceum ogólnokształcącego: byłoby to ze szkodą dla realizacji jego programu. Zresztą uzawodowienie matury nie zaspokaja „snobizmu", ponieważ rzekomy „snob" dąży do uzyskania dyplomu szkoły wyższej.

Samo życie pchnęło już nas w kierunku tworzenia uzupełniających studiów zawodowych dla maturzystów, którzy nie dostali się na studia wyższe. Słyszymy, że tego rodzaju studia (utworzone na przykład w Lublinie w ramach Państwowych Szkół Budownictwa) rozwijają się dobrze. Nie ulega wątpliwości, że ta zdrowa myśl wyda najlepsze owoce. Obrany kierunek jest bardzo logiczny i życiowo praktyczny. Ta sama logika życia i pozytywne ustosunkowanie się do „snobizmu" polegającego na dążeniu maturzysty do zrealizowania swego prawa do kontynuowania nauki właśnie w szkole wyższej, wymagają uczynienia dalszego kroku.

Wydział szkoły wyższej jest tylko pozornie jednością organizacyjną. W rzeczywistości składa się z dwóch komórek: komórki nauczającej i komórki naukowo-badawczej. Praca dydaktyczna i praca naukowo-badawcza tak się różnią gatunkowo, a więc pod względem metod pracy, że obie komórki nie mogą stanowić organicznej jedności. Nie chcę powiedzieć, że należy je od siebie oddzielić. Badawcza praca ciała nauczycielskiego szkoły wyższej właśnie dlatego, że odbywa się równolegle z pracą dydaktyczną, ma bardzo pozytywny wpływ na treść i poziom pracy dydaktycznej. Dlatego obie komórki należy utrzymać w ramach wydziału. Ale komórka dydaktyczna ma wszystkie cechy szkoły i żadnych cech warsztatu nauki. Ustawa o szkołach wyższych określa tę komórkę jako mającą na celu „kształcenie i wychowywanie kadr wysokokwalifikowanej inteligencji zawodowej". Ani student szkoły wyższej, jako taki, ani nauczyciel szkoły wyższej, jako taki, nie prowadzi badań naukowych. Dopiero absolwent szkoły wyższej pracujący nad rozprawą doktorską i jego kierownik prowadzą pracę naukowo-badawczą. Ale to już jest drugie stadium wykształcenia w ramach szkoły wyższej.

Panuje pogląd, zdaje się, podzielany przez wszystkich, że szkoła wyższa ma zadanie następujące: dać studentowi podstawy wykształcenia w pewnej dziedzinie wiedzy, wdrożyć go do samodzielnego zdobywania wiedzy już w toku pracy (p. „Polityka" nr 40 br., rozmowa z ministrem zdrowia i opieki społecznej dr Jerzym Sztachelskim). Nie sugerując się togami, biretami, gronostajami, wspaniałymi insygniami, należy powiedzieć, że szkoła wyższa jest skromną szkołą masowego nauczania, szkołą zapewniającą pewne kierunkowe wykształcenie ogólne (właśnie ogólne, a nie przyuczające do zawodu), jakie jest niezbędne dla umożliwienia absolwentowi dalszego kształcenia się już w toku wykonywania zawodu na poziomie naprawdę zawodowym, albo nawet naukowym.

Tworzymy dla maturzystów, którzy nie dostali się na studia wyższe, studia zawodowe. Po ich ukończeniu maturzysta otrzymuje tylko świadectwo ukończenia szkoły zawodowej. Tymczasem inny maturzysta, który dostał się przez ucho igielne do szkoły wyższej będzie świecił dyplomem szkoły wyższej z pięknym tytułem. A przecież obaj ukończyli szkołę „zapewniającą wykształcenie ogólne niezbędne do podjęcia studiów wyższych" (ustawa o rozwoju systemu oświaty i wychowania). Czy rozgoryczenie tego maturzysty, który otrzymał tylko świadectwo szkoły zawodowej, nie jest w pełni uzasadnione? I czy wolno nam godzić się na taki stan rzeczy dyskryminujący znaczną część maturzystów — tym bardziej że istnieje podejrzenie, iż część uprzywilejowana wcale nie jest lepsza od tej, która nie dostała się na studia wyższe?

Studia pomaturalne dla maturzystów, którzy nie dostali się na studia wyższe, będą niewątpliwie stopniowo podnosić się jakościowo. Rozwój tych szkół sprawi, że znajdą się one kiedyś na poziomie zbliżonym do poziomu wyższej szkoły zawodowej. Czy nie należy zastanowić się nad możliwościami przyspieszenia tego procesu i doprowadzenia go do logicznego końca? Ten proces doprowadzony do końca umożliwiłby państwu wykonanie zobowiązania, które podjęło ono umożliwiając obywatelowi uzyskanie matury.

Nie wolno nam oczywiście godzić się z faktem, że kandydat obiera kierunek studiów, który nie zapewnia mu pracy w obranym kierunku. Należy więc pokierować młodzieżą szukającą wyższego wykształcenia tak, żeby nie obierała kierunków nie poręczających zatrudnienia według wyuczonego zawodu. Właśnie ci maturzyści, którzy nie dostali się do szkół wyższych, stanowią masę pod tym względem bardzo plastyczną. Oni na pewno zgodzą się na proponowany im kierunek, choćby przez wzgląd na tę nieprzepartą chęć uzyskania wyższego wykształcenia.

Postulat wyżej wysunięty łączy się z szerzącym się już u nas postulatem tworzenia studiów „podyplomowych". Ich celem jest unaukowienie wykształcenia otrzymanego przez absolwenta szkoły wyższej. Jest to studium dla absolwentów, którzy wykazują zdolności naukowo-badawcze. Nie chodzi bynajmniej o przywrócenie dawnej dwustopniowości szkoły wyższej, którą życie już zdyskwalifikowało. Tam chodziło o dodatkowy rok nauki stanowiącej zwykle uzupełnienie nauki dotychczasowej. Postulat szkoły podyplomowej obejmuje koncepcję wieloletniego studium o charakterze naukowym.

Emanuel Iserzon

Sprawy do załatwienia

(Dokończenie ze str. 4)

zapominajmy — uprawianej (z mniejszymi, czy większymi oporami) jeszcze przez konserwatystów. W Stanach Zjednoczonych dyskusja była — łagodnie rzecz nazywając — głośna i zażarta, bo w wypadku zwycięstwa republikanów dotychczasowa polityka administracji Johnsona, zapoczątkowana jeszcze przez Kennedy'ego, zostałaby całkowicie przekreślona. „Rząd USA od dawna uważa — powiedział m. in. delegat USA w ONZ, Adlai Stevenson, w przemówieniu wygłoszonym z okazji Dnia Narodów Zjednoczonych — że jedyną alternatywą trzeciej wojny jądrowej jest tworzenie świata, w którym różnorodne poglądy mogłyby istnieć bez obaw. Istnieją w naszym kraju siły sprzeciwiające się temu celowi. Elementy te sądzą, że rokowania są złe i że droga do pokoju opiera się na brutalnej sile i niczym więcej. Odwróciłyby się one (w wypadku zwycięstwa wyborczego — przyp. autora) od tendencji do pokojowego rozwiązywania sporów międzynarodowych, drogi, po której kroczyliśmy dotychczas w ramach ONZ. Zamiast tak postępować elementy te anulowałyby układy, porzuciłyby współpracę, odmówiłyby udziału w rokowaniach, przestałyby ograniczać wyścig zbrojeń, kontynuowałyby doświadczalne eksplozje, dążyłyby do wykorzystania przestrzeni kosmicznej do celów wojskowych i opierałyby wszystko na sile. Twierdzą one, że stosując metodę ultimatum i zastraszania unieszkodliwiłyby społeczeństwa, które się nam nie podobają..."

Przytoczyłem ten wyjątek z przemówienia Adlai Stevensona jako przykład amerykańskiej dyskusji przedwyborczej na tematy międzynarodowe. Ale przypomnieć i podkreślić wypada raz jeszcze, że ani ze strony rządu Wielkiej Brytanii, ani ze strony administracji Johnsona, mimo że dyskusja, a raczej agitacja wyborcza, zahaczała o bardzo konkretne zagadnienia (co wyczytać można również z przytoczonego wyżej wystąpienia Stevensona), nie było na przestrzeni długich miesięcy poprzedzających wybory ani jednej konkretnej inicjatywy i ani jednego konkretnego i praktycznego ustosunkowania się do najpilniejszych problemów międzynarodowych.

Ale wybory minęły. Nie bez satysfakcji przyjęliśmy do wiadomości ich wyniki, że mianowicie, w Wielkiej Brytanii zwyciężyła Labour Party z Haroldem Wilsonem, że w USA — partia demokratyczna z Lyndonem B. Johnsonem. Tylko, że ze sprawami międzynarodowymi to nie tak, jak z papierkami w poniektórych urzędach: odłożony „ad acta" samoistnie niejako po jakimś czasie się dezaktualizuje i, gdy go po miesiącu lub dwóch wyciągnąć z teczki, okazuje się, że nie ma już nic do załatwienia. I tym również się chyba różni nasz nie najlepszy świat od najlepszego nawet urzędu. Tu nie ma co liczyć na samoistne dezaktualizowanie się problemów. Sprawy do załatwienia, a nie ruszane z jakichś tam względów (w tym wypadku ze względu na wybory), są nadal sprawami do załatwienia. Najogólniej rzecz ujmując, chodzi tu o dalsze osłabienie napięcia międzynarodowego, zahamowanie wyścigu zbrojeń i stworzenie warunków dla pokojowej współpracy międzynarodowej. Oczywiście sposobem najradykalniejszym, ale i najpewniejszym zarazem, byłoby zrealizowanie powszechnego i całkowitego rozbrojenia. Skoro jednak, z wielu względów, takie radykalne cięcie nie jest jeszcze możliwe, należy nadal szukać środków przygotowujących grunt do zrealizowania tego głównego celu. Trzeba nadal kroczyć drogą rozwiązań częściowych, na którą się już zresztą wstąpiło. Zawarto np. porozumienie o częściowym zakazie doświadczeń nuklearnych. Do załatwienia jest sprawa rozszerzenia tego porozumienia również na próby podziemne. Są polskie propozycje w sprawie utworzenia strefy bezatomowej w Europie środkowej i w sprawie zamrożenia w tej części Europy zbrojeń nuklearnych. Jest sprawa — w dużym zresztą stopniu pokrewna — zakazu rozprzestrzeniania broni nuklearnej na kraje, które nią dotychczas nie dysponują. Jest w interesie pokoju w Europie i na całym świecie zawarcie traktatu pokojowego z obu państwami niemieckimi i uregulowanie sprawy Berlina zachodniego. Nie rozwiązana została jeszcze do końca sprawa dekolonizacji, chociaż wiele już osiągnięto w dziele przekreślenia tej ponurej karty w historii stosunków międzynarodowych i międzyludzkich. Niepokojem napawają społeczność międzynarodową wieści nadchodzące z Południowego Wietnamu, Południowej Korei, z Laosu, Konga i Cypru. I z Kuby, poddawanej aktom dywersyjnym i dyskryminacyjnym. Cały szereg spraw do załatwienia wpisały na wokandę obradujące przed niedawnym czasem w Kairze kraje niezaangażowane. Chińskiej Republice Ludowej (która niedawno przeprowadziła pierwszą próbę nuklearną) nie przyznano jeszcze — wbrew wszelkiej logice — należnego jej miejsca w ONZ. Kontynuacji — i praktycznych kroków — wymagają wysiłki podjęte na odbytej w Genewie światowej konferencji dla spraw handlu i rozwoju.

Nie wiem, czy wymieniłem wszystkie sprawy. Nie wiem także, czy wymieniłem je w należytym porządku. O tym nie mnie sądzić, tylko raczej kancelariom dyplomatycznym. Ale i ten rejestr — może i niepełny i może nie należycie uszeregowany — daje przybliżony przynajmniej, jak sądzę, obraz sytuacji międzynarodowej i wynikających z niej spraw. Uciekłem się już raz w tym felietonie do porównania z urzędem. Z porównania tego chcę skorzystać raz jeszcze. Są mianowicie urzędnicy, których zasada postępowania brzmi mniej więcej tak: nie ma takiej pilnej sprawy, która jutro nie byłaby jeszcze pilniejsza. To jest oczywiście żartobliwie cyniczne usprawiedliwienie lenistwa. No bo po co niby załatwić coś dzisiaj, skoro jutro moja czynność będzie bardziej potrzebna. Trzeba jednak przyznać, że to co jest kiepskim dowcipem w urzędzie, na arenie międzynarodowej brzmi zupełnie realnie i niepokojąco. Chciałoby się nawet powiedzieć: tu nie ma nic do śmiechu. Tu rzeczywiście nie ma takiej pilnej sprawy, która by jutro nie była jeszcze pilniejsza. Z tym, że „pilniejsza" oznacza w tym kontekście: trudniejsza. Czasem nawet: niebezpieczniejsza. Np. sprawa zakazu rozpowszechniania broni nuklearnej. Już dzisiaj jest to sprawa pilna. Ale Stany Zjednoczone, jak wiadomo, lansują utworzenie tzw. wielostronnych sił nuklearnych NATO (MLF), co — gdyby zostało zrealizowane — otworzyłoby Niemieckiej Republice Federalnej dostęp do broni jądrowej. Jak wtedy wypadłoby określić sprawę zakazu rozpowszechniania broni nuklearnej? Czy — tak samo jak dziś — tylko jako sprawę pilną?

*

Zatytułowałem ten felieton: Sprawy do załatwienia. Ale „sprawa do załatwienia" ma u nas dwojakie znaczenie. Rozumie się przez to sprawę, która wymaga załatwienia. I rozumie się przez to również sprawę, która jest możliwa do załatwienia. Ja użyłem tych słów w ich dwojakim znaczeniu. Bo rozwiązanie poruszonych w tym felietonie zagadnień jest nie tylko konieczne, ale możliwe. Wyniki wyborów angielskich i wyniki wyborów amerykańskich dowodzą, że ci, którzy przystąpią do załatwiania spraw w duchu wzajemnego zrozumienia i porozumienia międzynarodowego, mogą liczyć w swych poczynaniach na aktywne poparcie swoich narodów.

Także na poparcie tych, którzy tym wyborom przyglądali się co prawda z zewnątrz, ale ich wyniki przyjęli z pełną satysfakcją.

Stefan Chaniec-Chanachowicz

RZESZOWSKA JESIEŃ MUZYCZNA

WOJSŁAW BRYDAK

W RZESZOWIE atrakcjami pierwszego po wakacjach koncertu były występy Reginy Smendzianki i I symfonia Brahmsa, jednak radość z nowych wydarzeń muzycznych przyszła skądinąd. Myślę o Łańcuckich Wieczorach Chopinowskich, imprezie, która przez osiem dni przykuwała uwagę lokalnych (i nie tylko lokalnych) miłośników muzyki. W sali balowej zamku łańcuckiego wystąpili niemal wszyscy kandydaci do polskiej ekipy pianistycznej na zbliżający się VII Międzynarodowy Konkurs im. Fr. Chopina, oraz PGS w Rzeszowie pod dyrekcją Janusza Ambrosa i Tadeusza Chachaja, solistą zaś ostatniego wieczoru był Adam Harasiewicz.

Uderzającą cechą tej imprezy była znakomita frekwencja. W Łańcucie co wieczór komplet, w Rzeszowie wiele osób przed zamkniętą kasą. O takim powodzeniu zadecydowała chyba atmosfera panująca w czasie koncertów — tym bardziej, że repertuar nie zawierał niespodzianek, a nazwiska solistów (Harasiewicz wystąpił nadprogramowo) nie są jeszcze znane szerszej publiczności. Otóż do zamku łańcuckiego trafiła chyba pewna część nastrojów nader charakterystycznych dla sali przesłuchań konkursu chopinowskiego — możność porównania w tym samym repertuarze różnych stylów gry, różnych temperamentów muzycznych, przydająca pewności siebie nawet mniej osłuchanym melomanom. Niemal każdy uważny słuchacz czuł się po trosze jurorem zbliżających się eliminacji przedkonkursowych. Efektem tego była, jakże radosna dla muzyków, bardzo aktywna postawa odbiorców; dyskusje, spory, i uwagi stworzyły pod koniec „Wieczorów" jakby klub słuchaczy, którego legitymacją była karta abonamentowa. Nie bez znaczenia dla tej „wciągającej" atmosfery była piękna oprawa, jaką stanowił zamek łańcucki.

Dominującą cechą gry młodych pianistów była poprawność. Podejrzewam, że jest ona między innymi owocem niedostatków techniki, dość powszechnych wśród kandydatów do ekipy. Niekiedy odnosiło się wrażenie, że koncepcja wykonywanego utworu dostosowana była do skromnych możliwości technicznych grającego. Na odwrót zdarzało się z dźwiękiem, kiedy swoboda panowania nad instrumentem cierpiała w partiach forte, gdzie młodzi wykonawcy często tracili selektywność brzmienia lub dbałość o jego gatunek. Wynikiem tych cech była przewaga Chopina lirycznego, „romantycznego", nad Chopinem dramatycznym, czy pełnym blasku i elegancji. Stąd dobre nokturny, piękne kantyleny, stylowa fraza i miękkie delikatne brzmienie były najczęściej spotykanymi zaletami wykonań; stąd niepełne w wyrazie większe formy. Stąd jednostronność. Efektownie zabłysnął na tym tle talent Marty Sosińskiej. Wyobraźnia muzyczna, pełna blasku technika, temperament i bogato różnicowany, czasem b. duży dźwięk — to najcenniejsze zalety jej gry. Od średniego poziomu odbiegały również dojrzałe wykonania Wiesława Szlachty i bardzo dobrze zapowiadające się występy Elżbiety Glab. Jednak klimat muzyki Chopina nie jest chyba najbliższy tej interesującej dwójce, dlatego z przykrością myślę, że dalsze ich osiągnięcia pianistyczne, jeśli nie pokryją się z osiągnięciami na polu chopinistyki, mogą być fałszywie osądzone przez najszersze koła publiczności, jakże chętnie oceniające młodzież pianistyczną wedle lokat na konkursie chopinowskim.

Pisałem już, że w Łańcucie istniała spora łączność między słuchaczami, powstała ze świadomości uczestniczenia w wydarzeniu muzycznym. Łączność ta była jednym z magnesów ściągających publiczność do Łańcuta. Nie mam zamiaru narzekać na aktualne warunki rzeszowskiej orkiestry, ale sądzę, że przeniesienie atmosfery „Łańcuckich Wieczorów" na abonamentowe koncerty w Rzeszowie jest w tej chwili mało możliwe z różnych względów. Piątkowe koncerty w niewielkiej sali WDK, odbywające się dwa razy na miesiąc, cieszą się umiarkowanym powodzeniem, zależnym, jak zwykle, od nazwiska solisty i (rzadziej) od repertuaru. Można by

(Dokończenie na str. 9)

KSIĄŻKA O MARTYROLOGII

ELŻBIETA ROSIAK

„W powiecie zamojskim zaczęła się na większą skalę akcja wysiedleńcza mieszkańców różnych wsi. Dokładnych szczegółów nie znam, mówią ludzie przyjeżdżający z terenu, że wysiedlono kilka wsi pod Skierbieszowem, dalej Złojec, Zarudnie, Stary Zamość i in. Z gminy Nielisz brano po 202 furmanek z każdej wsi na przewożenie wysiedlonych, lub na przewożenie jakichś obcych przybyszów volksdeutschów".

Tak pisał w 1942 r. Zygmunt Klukowski w „Dzienniku z lat okupacji", wierny kronikarz Ziemi Zamojskiej. Zamojszczyzna w okresie okupacji zapisała wiele kart historii martyrologii i ruchu oporu ludności polskiej, na tej ziemi hitlerowcy dokonali najwięcej masowych egzekucji i pacyfikacji.

W okresie od XI 1941 r. do VIII 1943 r. Niemcy wysiedlili z 297 gromad Zamojszczyzny około 110 tysięcy osób, co stanowiło 31 proc. ogólnej ilczby Polaków zamieszkałych na tych terenach. Szereg koncentracyjnych obozów przejściowych, na czele z Bełżcem, w którym ginęli Żydzi prawie z całej Europy, więzienie zamojskie, przez które przeszło wiele tysięcy ludzi, czy Rotunda zamojska — są świadectwem polityki okupanta zmierzającej do tego, by powiaty: zamojski, hrubieszowski i tomaszowski przygotować dla osiedleńców niemieckich.

Tragedię akcji wysiedleńczej przeżywali także mieszkańcy gminy Stary Zamość. Problemem tym zajął się szczegółowiej Stanisław Zgrzywa w książce pt. „Gmina Stary Zamość 1939—1944", wydanej przez Wydawnictwo Lubelskie w 1964 r.*).

Na treść publikacji składają się następujące rozdziały: Akcja wysiedleńcza i eksterminacyjna, Skutki akcji wysiedleńczej, (włącznie z ruchem oporu), Zakończenie, aneksy (np. pismo Zörnera do H. Franka, wspomnienia Andrzeja Kardasza z lat okupacji, zestawienie osób poległych w latach 1939—1944 z gminy Stary Zamość, a także liczne ilustracje).

Akcje wysiedleńcze na terenie Zamojszczyzny przebiegały w szybkim tempie, wystarczy przypomnieć, iż od listopada 1942 r. do kwietnia 1943 r. wysiedlono 42.000 ludności polskiej ze 116 wsi Zamojszczyzny.

Autor pracy wyzyskał opracowane publikacje źródeł, prasę konspiracyjną, akta Gminy Stary Zamość (niekompletne) i relacje naocznych świadków wydarzeń. Tak wszechstronnie zebrany materiał zagwarantował naukową interpretację zagadnienia. Zgrzywa stara się nie tylko skupić uwagę nad losami gminy Stary Zamość od momentu zagarnięcia ziem przez okupanta, ale analizuje także stan kultury i warunki ekonomiczne wsi zamojskiej przed wojną. I tak np. informuje, iż w 1906 r. w Udryczach działało Stowarzyszenie Oświatowe „Światło", które prenumerowało „Kurier Lubelski", „Przegląd Poranny", „Wiedzę", „Zagon" i „Zorzę". Poziom kulturalny, a w związku z tym świadomość ludności zamieszkującej na terenach gminy Stary Zamość, na pewno nie były bez znaczenia dla rozwijającego się na tych terenach ruchu oporu. Po wkroczeniu wojska niemieckiego na teren gminy Stary Zamość pojawiły się liczne zarządzenia zmierzające do rozwiązania organizacji społecznych i politycznych, wzywano do oddania radioodbiorników, broni, przedmiotów wojskowych, a także do obowiązkowych dostaw zboża, ziemniaków, mięsa, siana itd.

Duży nacisk w pracy położył Stanisław Zgrzywa na problemat germanizacji terenów Zamojszczyzny (zwłaszcza Brodów Dużych, Sitańca, Huszczy Dużej, Huszczki Małej i in.), na których przebywali koloniści niemieccy, gdyż zdaniem autora:

„Istnienie mniejszości niemieckiej — łącznie na terenie gminy 189 rodzin — przyczyniło się do tego, iż okupant w czasie akcji wysiedleńczej wybrał gminę Stary Zamość jako teren przeznaczony dla volksdeutschów".

Dla umocnienia pozycji Niemców na terenie gminy Stary Zamość koloniści otrzymali broń, przeprowadzane były specjalne ćwiczenia strzelnicze, otworzono szkoły niemieckie. Wielu spośród Polaków (zwłaszcza w latach 1940/41) kierowano na roboty rolne do Niemiec, był to jeden ze sposobów „oczyszczania terenów" dla zdobycia przestrzeni życiowej.

Innymi sposobami, mniej kosztownymi, ale bardziej skutecznymi, były częste pacyfikacje, poprzedzające wysiedlenia. Autor publikacji nie poprzestaje na stwierdzeniach, stara się także o wysuwanie wniosków popartych danymi liczbowymi, które stanowią bardzo cenny materiał dla zainteresowanych tym regionem. I tak np. czytamy:

„W wyniku akcji wysiedleńczej i pacyfikacyjnej na terenie gminy Stary Zamość zostało pozbawionych wolności 2.589 osób. Wywieziono na przymusowe roboty do Niemiec 418 osób, a 69 zginęło w nieznanych okolicznościach. W Rotundzie zamojskiej zamordowano w bestialski sposób 55 osób, na Majdanku 160 osób, w Oświęcimiu — 54 osoby, w Zamościu za drutami — 15 osób, w Oranienburgu — 3 osoby, w Siedlcach — 3 osoby, w Dachau — 1 osobę, w Niemczech, przeważnie podczas nalotów — 12 osób".

Wzmożony terror okupanta wywołał ostrą reakcję społeczeństwa. Toteż Zamojszczyzna stała się zwłaszcza przy końcu okupacji, jednym z najsilniejszych w kraju ośrodków ruchu partyzanckiego. Stanisław Zgrzywa słusznie eksponuje w pracy moment ruchu oporu, zwłaszcza działalność grup partyzanckich GL pod przewodnictwem Edwarda Gronczewskiego, Mastalarza, BCh, i AK, oraz wpływ oddziałów radzieckich na radykaliżowanie nastrojów i poglądów wsi zamojskiej.

Duży nacisk położył także autor na powstawanie komórki PPR, Komitetu Powiatowego wspomnianej partii w powiecie zamojskim, czy wreszcie konspiracyjnej Powiatowej Rady Narodowej.

Na szczególną uwagę zasługują bogate aneksy, a także liczne ilustracje i fotokopie. Wyzyskane materiały archiwalne (Archiwum Państwowe w Zamościu, Archiwum KW PZPR w Lublinie, Wojewódzkie Archiwum Państwowe w Lublinie), jak również maszynopisy, czy najnowsza literatura poświęcona regionowi zamojskiemu, czynią z pracy St. Zgrzywy pozycję niezmiernie cenną i interesującą. Staranne opracowanie graficzne i sugestywna okładka projektu Zbigniewa Podciechowskiego podnoszą walory publikacji.

*) Stanisław Zgrzywa: Gmina Stary Zamość, 1939, 1944. Lublin 1964. Wydawnictwo Lubelskie, s. 82, 2 nlb.

RZESZOWSKA JESIEŃ MUZYCZNA

(Dokończenie ze str. 8)

tego wnosić, że teren Rzeszowa nie jest przychylny dla żywej muzyki — tym bardziej, skoro doskonaląca się z roku na rok orkiestra osiągnęła już niezły poziom, pozwalający na dość szeroki repertuar. Powodzenie imprezy łańcuckiej dowiodło, że takie przypuszczenia będą mylne, zważywszy, iż poziom muzyczny wieczorów na zamku nie był rewelacją — dowodzą tego sukcesy kasowe Dni Muzyki Kameralnej prezentujących trudny (chociaż bardzo dobrze realizowany) repertuar. Bardzo w tej chwili realne nadzieje na wybudowanie nowego budynku filharmonii niewątpliwie mogą się łączyć z przekonaniem o celowości i przydatności tego typu przedsięwzięcia. Wyższy poziom zespołu i jego ranga pozwolą wtedy na dalsze rozszerzenie repertuaru i coraz atrakcyjniejsze (to jednak bardzo ważne) nazwiska solistów.

Innego rodzaju akcję koncertową może realizować druga po POS rzeszowska placówka muzyczna, jaką jest średnia szkoła muzyczna. Wprawdzie koncerty nie mogą być celem działalności szkoły, ale posiadanie wcale dobrej sali, kontaktów z wyższymi szkołami muzycznymi i SPAM, pozwalają na organizowanie występów przeznaczonych dla węższego kręgu blisko związanych z muzyką słuchaczy, dla których niejednokrotnie repertuar jest dużo istotniejszy od osoby wykonawcy. Dyrekcja szkoły dostrzega te możliwości i w jakimś, niemałym zresztą, stopniu wykorzystała je w ubiegłym roku szkolnym. Trudno spodziewać się w szkole gotowych planów działalności koncertowej, z pewnością jednak liczba koncertów w bieżącym roku szkolnym przekroczy zeszłoroczną, a być może, rok ten pozwoli na wynalezienie i realizację stałej i oryginalnej formy uzupełniania lokalnego życia muzycznego.

Oglądałem najbliższe plany repertuarowe POS. Nie wydaje mi się, aby nadchodzący sezon przyniósł jakieś efektowne sukcesy oprócz zaplanowanych Dni Muzyki Kameralnej. Jednak sezon ten i kilka następnych dobrze przygotują grunt pod serię prawdziwych wydarzeń i niespotykanych jeszcze radości, jakie czekają rzeszowskie życie muzyczne z chwilą otwarcia nowej filharmonii.

Wojsław Brydak

Enigmat opinii

WYGLĄDA na to, że opinia publiczna nie pozwala mi usnąć. Przewracam się w pościeli szorstkiej jak ściernisko, na tapczanie z granitu. Dręczy pytanie, czym właściwie jest ta opinia, o której tak lekko pisze się w gazetach i zatrąca w różnych enuncjacjach. Z podobnych zdawkowych powoływań się wynikałoby, że opinia taka to zdrowy mózg świadomości społecznej, w każdej chwili bezbłędnie reagujący na wydarzenia otaczającego świata. Jakże jednak objaśnić reakcję tego zdrowego organu w dwóch różnych sprawach, o których dowiedziałem się niedawno?

W Kazimierzy Wielkiej, na ciążących ku Krakowskiemu krańcach Kielecczyzny, pewna pani sprzeniewierzyła dobro społeczne na sumę idącą w setki tysięcy złotych. Cios zadany dobrym obyczajom był wyrafinowanie bolesny, gdyż pani pracując w aptece dolewała wody do lekarstw, zaś zastąpione w ten sposób specyfiki traktowała jako swoją własność. Podczas rozprawy zapadł wyrok skazujący na więzienie. Gdy go odczytano, miejscowa publiczność urządziła na sali demonstracyjne załamywanie rąk, płacz oraz czyniła inne dramatyczne gesty. Chodziło jej o to, że sąd popełnił czyn wysoce niehumanitarny, bowiem postanowił pozbawić wolności matkę 11-letniego chłopca.

Cóż to znaczy? W opinii publicznej, którą tworzyła lokalna, lecz spora grupa osób, istnieją wprawdzie schematy ukształtowane od stuleci, a mówiące, że nie wolno krzywdzić dziecka, ale obok nich nie istnieje żaden typ rozumowania, który bodaj tylko naszkicowałby przekonanie, że dobro społeczne jest święte, a już zamach na nie, czyniący zarazem uszczerbek zdrowiu setek chorych, którzy z ufnością przyjmują lekarstwa, to już dno niemoralności. Dlaczego taki deficyt w sumieniach? Nie wiem, i właśnie dlatego przewracam się w pościeli.

Drugie wydarzenie miało miejsce w Kielcach. Skromna, nie zwracająca niczyjej uwagi pracownica wojewódzkiej instytucji ujawniła nadużycia popełnione przez kierownictwo. Sprawcy zostali ukarani, ale wobec pozytywnej bohaterki błyskawicznie tworzy się wrogi front opinii biurowej. Niedostrzegana przedtem kobieta staje się celem przeróżnych szykan i jadowitych złośliwości, na jakie potrafi zdobyć się tylko pseudointeligenckie środowisko. Stawia ono na swoim i nie mogąc przebaczyć „donosicielstwa" doprowadza biedną kobietę najpierw do rozstroju nerwowego, a potem do usunięcia jej z pracy. Dla ścisłości trzeba przyznać, że w końcu sprawiedliwość zatriumfowała i prześladowana doczekawszy się skarcenia winnych jej zwolnienia wraca na dawne miejsce. Ale to, choć ważne, nie jest w tej sprawie najważniejsze. Dlaczego tylu ludzi nie zamieszanych przecież w nadużycia, tak nagle i solidarnie występuje przeciwko tej jedynej, która miała odwagę powiedzieć o wszystkim władzom? Może nie istnieją w ich umysłach schematy szacunku dla prawości, a może przy istnieniu takich norm w świadomości, zabrakło po prostu odwagi i stąd zbiorowa nienawiść do kogoś, kto wyrwał się z okowów strachu? Nie wiem i przewracam się bez snu w pościeli. A jeśli wiem, to tyle, że nie zawsze trzeba wierzyć enigmatycznemu tworowi występującemu pod nazwą opinii publicznej.

Jędrzej

PRZEGLĄD PLASTYCZNY

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI

OBSERWUJĄC działalność wystawienniczą na przestrzeni kilku ostatnich tygodni można dostrzec zjawisko ciekawe i pożyteczne: coraz częściej widzimy prace lubelskich plastyków w małych peryferyjnych lokalach klubów, szkół czy nawet na wolnym powietrzu. Niestety — w tym wypadku pozytywny fakt zwiększenia ilości wystaw nie idzie w parze z podwyższeniem jakości i większość eksponowanych prac cechuje dość przeciętny poziom; jest rzeczą oczywistą, że tą drogą nie zdobędzie się widza.

Przechodząc do omówienia poszczególnych wystaw, ze szczególną satysfakcją można odnotować pokaz prac uczniów P.L.T.P. z Nałęczowa, o której to szkole obszernie pisałem w jednym z majowych numerów „Kameny". To wszystko, co zgromadzono i pokazano w dniach od 12 do 26 września w salach BWA, przypomniało, że dzieci mogą bawić się pięknymi zabawkami z drewna, kolorowych szmatek, plastiku itp. materiałów, że mebelki i kosze z wikliny przy swoich prostych i zwięzłych formach odpowiadają kryteriom dobrego smaku. Można sobie wyobrazić, jakie tłumy przewinęłyby się przez BWA, gdyby doszedł do skutku zaplanowany, lecz niestety nie zrealizowany kiermasz. Malarstwo uczniów pokazane na wystawie, również dobrze świadczy o umiejętnościach posługiwania się kolorem i o znajomości zasad kompozycji. Nieomal cały zestaw prac z Nałęczowa eksponowany jest obecnie we Wrocławiu (przed Lublinem obejrzeli go warszawiacy w „Domu Chłopa").

Daleko poza śródmieściem, bo w DDK na Czechowie Górnym Janina Miłosiowa eksponowała prace olejne znane już z wystawy indywidualnej omawianej przeze mnie w czerwcu.

W szkole podstawowej nr 27 przy ul. Melgiewskiej, w okresie od 22 września do 15 października, czynny był pokaz kilku obrazów Marii Urban, które nie wybiegają poza genre artystyczny właściwy tej malarce dzieci. Nie potrzeba przy tym wspominać o wielorakich zaletach pedagogicznych i kulturalnych mogących być następstwem urządzenia wystaw w szkołach: wypada jedynie oczekiwać zwiększenia ilości podobnych ekspozycji, połączonych koniecznie ze spotkaniem młodzieży z autorem prac. Spotkanie takie mogłyby być jednym z punktów jakiejś atrakcyjnej imprezy, np. zgadui-zgaduli na temat sztuki (wzorem Warszawy).

Typ następnej wystawy czynnej w DDK ZOR — Zachód od 22 września do 15 października odbiega nieco od dotychczas omawianych: Fred Kosmala, od kilku lat aktor i zarazem scenograf lubelskiego Teatru Lalki i Aktora, prezentował swoje projekty scenograficzne i lalkarskie. Mogliśmy więc obejrzeć fotosy ze spektakli, malowane jawajki, kukły i pacynki towarzyszące trzem „prawdziwym" lalkom z przedstawienia „Sambo i Lew". Zasadniczą cechą scenografii Kosmali wydaje się być dążenie do przestrzennej organizacji sceny, redukcja przedmiotów do form oszczędnych, często symbolicznych, zawsze jednak jednoznacznych w swej funkcji oznaczania i współudziału w określonej akcji; lalki w miarę możliwości technicznych (ograniczonych, co stanowi cechę naszego lalkarstwa w ogóle) zróżnicowane i trafnie charakteryzujące rolę postaci — odczuwa się do nich sympatię, lub nie lubi się ich od pierwszego wejrzenia, co jest sprawą istotną w stosunku do dziecięcego widza. Na terenie tegoż DDK istnieją zespoły kukiełkowe, więc przewidziano spotkanie z autorem, co stanowi jeszcze jedną zaletę tego przyjemnego wydarzenia. Przy okazji: ten niewielki dom kultury, którego kierowniczka p. Bożena Drwalowa tak życzliwie ustosunkowana jest do plastyków, powinien otrzymać pewną pomoc od miejskiego wydziału kultury w celu przeprowadzenia naprawdę niekosztownej adaptacji wnętrza (ścianki działowe-ekrany z płyt pilśniowych, może bar kawowy i koniecznie prasa). Pozwoli to na zwiększenie ilości i korzystniejsze eksponowanie dzieł plastyka, kawa i prasa przysporzą stałych bywalców również wśród starszej części osiedlowej społeczności, obecnie dość rzadko odwiedzającej klub.

Wśród pozostałych wystaw wymieńmy jeszcze czynną w klubie MPiK w drugiej połowie września ekspozycję rysunków tuszem i akwarel Mieczysława Hermana, absolwenta wydziału architektury wnętrz gdańskiej PWSSP, od roku przebywającego w Lublinie. Kilka jego prac wskazuje na możliwości dalszego rozwoju.

Również MPiK gościł przy końcu września akwarele Wandy Chełmickiej, zróżnicowane artystycznie, niektóre mogące zainteresować prawdziwie kobiecym podejściem do spraw koloru w obrazie, wszystkie natomiast stanowiące rezultat uczuciowej interpretacji malowanych kwiatów i pejzaży.

W „Norze" pomiędzy 20 września a 1 października pokazał swoje „przedmioty" Eugeniusz Kwerko. Znamionując dużą wyobraźnię autora i pewne luźne związki z „pop art'em" (zapalniczka w doniczce z tworzywa), mogą na razie pretendować do miana niezłej dekoracji.

W przeciwieństwie do akademickiego w swej poprawności i suchości cyklu rysunków pokazanego kilka miesięcy temu w BWA, obecna skromna ilościowo (6 prac) wystawa rysunków tuszem Zygmunta Bobołowicza otwarta 20 września w Studium Nauczycielskim świadczy o znacznym postępie dokonanym przez młodego plastyka. Zdecydowana kreska stwarza przejrzystą konstrukcję, która pomimo pozorów intelektualnej operacji jest wynikiem żywiołowej i zaangażowanej uczuciowo manifestacji wobec codzienności, lecz nie jest to eksplozja radości, a raczej przygnębienia i determinacji.

Sławomir Mieleszko, absolwent wydziału rzeźby PWSSP w Poznaniu, drugi młody plastyk od kilkunastu miesięcy przebywający w Świdniku, zaprezentował w „Norze" swoje rysunki i akwarele; kilka z nich godnych uwagi poprzez impresyjną

(Dokończenie na str. 10)

PRZEGLĄD PRASY

OBCHODZILIŚMY niedawno rocznicę powstania UMCS, uniwersytetu, który rósł razem z Polską Ludową, jej potrzebom służył, służył też wyzwolonym przez rewolucję potrzebom całego narodu. Prasa powracała często do tej rocznicy, pisało się o początkach uniwersytetu, o jego dorobku, także o jego pozycji w skali województwa i kraju. Ostatni jednak numer miesięcznika **„Życie Szkoły Wyższej"**, poświęcony przede wszystkim dwudziestoleciu pierwszego uniwersytetu Polski Ludowej, stał się jakby małą monografią uniwersytetu, jego historii i teraźniejszości. Jest tu wypowiedź rektora G. L. Seidlera, J. Malarczyk daje szkic dziejów uniwersytetu, N. Łubnicki omawia dorobek humanistyki UMCS, zaś J. Dobrzański pisze o studiach dla pracujących. To tylko niektóre nazwiska i poruszane zagadnienia.

Zwięzła wypowiedź rektora Seidlera przedstawia pozycję uniwersytetu na prawym brzegu Wisły, podkreśla wpływ jego pracowników i wychowanków na różne dziedziny życia:

„Przez dwadzieścia lat formowali oni historię i tradycję Uniwersytetu. Nie ma tu zakładu, katedry, laboratorium, w którym by nie było ludzi pamiętających wnoszenie pierwszych książek, sprzętów czy instrumentów. Przez dwadzieścia lat wytrwale zdobywał Uniwersytet pozycję odpowiadającą intencjom jego założycieli. Wraz z budową Uczelni utrwalało się wśród pracowników przekonanie, że wartość szkoły wyższej musi być mierzona jej przydatnością dla terenu, uczestnictwem w krajowych pracach badawczych oraz stopniem związania Uczelni z głównymi nurtami nauki świata".

Nadzwyczaj interesujący jest szkic historii uniwersytetu napisany przez J. Malarczyka. Oparty jest na szerokiej podstawie źródłowej z częstym odwoływaniem się do zasobów archiwalnych. Stąd najwięcej uwagi poświęca autor pierwszym latom działalności uczelni, wtedy, kiedy się dopiero organizowała i kształtowała. Na pierwszym planie są więc trudności, przeszkody i bolączki. I dobrze, że autor wybrał taką metodę. Łatwiej dostrzec wtedy przebytą drogę, punkt wyjścia i punkt dojścia.

Niektóre sprawy tak są już od nas odległe, że wydają się niemal niemożliwe, a przecież wtedy urastały do poważnych problemów. Do takich należały codzienne sprawy bytowe, których załatwianie wymagało pomocy najwyższych władz państwowych. Oto 6.XI.1944 rektor uniwersytetu zwraca się do przewodniczącego PKWN z prośbą o przydzielenie materiału na ubrania oraz zapomogi na ich wykonanie dla profesorów i pracowników Uniwersytetu, których stan „ubraniowy" jest tak fatalny, że uniemożliwia im to występowanie publiczne. Na liście potrzebujących osób znajduje się m in. nazwisko Ludwika Hirszfelda. Dokumenty w rodzaju poniższych nie należały do rzadkości:

„Do Resortu Gospodarki PKWN w Lublinie. Zwracam się z uprzejmą prośbą — pisał rektor H. Raabe — o przydzielenie prof. drowi Januszowi Domaniewskiemu, zamiast normalnej pary obuwia, o które Resort robi starania, materiału na długie buty. Prośba ta wynika z okoliczności, że prof. Domaniewski ma chore nogi i nosi jedynie długie buty".

Innymi razy rektor prosi o przydzielenie mydła, świec, pasty do obuwia i nafty, o przydział papieru do zaciemniania, czy — teczek do noszenia papieru.

„Sprawa ta jest o tyle ważna, że większość profesorów, w tym również dziekani przeważnie nie posiadają nic więcej poza ubraniem na sobie, teczka zaś w warunkach pracy profesorskiej jest konieczna".

Dziś Uniwersytet MCS stał się nowoczesnym ośrodkiem naukowym, powiązanym z życiem narodu i regionu, związany z jego przyszłością i perspektywami.

A teraz przejście do innych spraw — do współczesnej poezji. Można z zadowoleniem stwierdzić, że sprawa ta rusza z miejsca. Poświęca się poezji współczesności coraz więcej miejsca w prasie, pojawiają się publikacje syntetyczne i ciekawe analizy. Ukazało się w krótkim odstępie kilka książek poświęconych poezji współczesnej, wśród nich tak ważne jak R. Matuszewskiego, J. Kwiatkowskiego czy J. Prokopa. Niedawny numer **„Ruchu Literackiego"** przyniósł parę pozycji poświęconych literaturze powojennej, m. in. szkic W. Szymańskiego poświęcony poezji Grochowiaka.

Szereg publikacji poświęconych poezji współczesnej (dalsze są zapowiedziane) zamieszcza wrocławski miesięcznik **„Odra"**. Znajdujemy wyjątkowo wnikliwy szkic Janusza Sławińskiego zatytułowany „Próba porządkowania doświadczeń". Autor próbuje dać opis pewnych orientacji dających się zauważyć w dzisiejszej poezji polskiej. Cztery takie orientacje wymienia krytyk: poetycka moralistyka, poezja lingwistyczna, poezja wyzwolonej wyobraźni, apel do tradycji. Każda z nich prowadzi do odmiennego modelu poezji. Wszystkie te nurty wykrystalizowały się w dialogu z klasyczną tradycją dla wszystkich nowatorskich poszukiwań dzisiejszej poezji — z awangardowym modelem Przybosia.

Szkic Sławińskiego jest dyskusyjny, ale bardzo niezależny i odważny.

T. K.

O „Kozienaliach"

(Dokończenie ze str. 2)

mu ośrodkowi studenckiemu w inny sposób: w ramach studenckich uroczystości z okazji XX-lecia UMCS pomagaliśmy zorganizować władzom uniwersyteckim ogólnopolskie seminarium: „Koncepcja socjalistycznego uniwersytetu", zorganizowaliśmy ogólnopolską naradę aktywu radiowęzłów studenckich, została otwarta międzynarodowa wystawa fotografiki: „Studenci", organizowana jeszcze od ubiegłego roku przez ZSP wspólnie z Wydziałem Kultury PWRN. Na tę wystawę, którą mamy zamiar kontynuować w następnych latach, nadesłali swoje prace studenci z Finlandii, Bułgarii, Jugosławii, Szwecji, Węgier, Czechosłowacji i Polski. Zorganizowaliśmy także wystawę prac malarskich studentów z Krakowa i z Wybrzeża.

A co do „fermentu", woleliśmy jednak na wszelki wypadek zabezpieczyć się: specjalnie utworzona „milicja juwenaliowa" miała na celu ostudzenie temperamentów i w ogóle utrzymanie porządku na imprezach „kozienaliowych". Interweniowała zresztą tylko w nielicznych przypadkach. Natomiast, rzecz ciekawa — wielokrotnie podczas imprez studenckich słyszało się zdanie wypowiadane przez samych, tych, zdawałoby się, najbardziej rozdokazywanych, uczestników: „nie rozrabiajcie za dużo, bo w przyszłym roku nie dostaniemy pozwolenia na zorganizowanie „Kozienaliów". I taka przestroga prawie zawsze skutkowała.

— *To świadczyłoby o zdyscyplinowaniu...*

— Wydaje mi się, że chodzi o coś ważniejszego: ta „samoochrona", zabieganie o pomyślny przebieg juwenaliów, tak liczny i chętny, odmienny niż w poprzednich latach udział w nich, wypływa chyba stąd, że młodzież zaczyna odczuwać potrzebę posiadania własnej tradycji uniwersyteckiej. W danym momencie potrzeba ta objawia się w chęci posiadania własnych juwenaliów, mogących konkurować z innymi miastami.

— *A miasto? Lublin...?*

— Z miastem podobnie. Ani się spostrzegliśmy, jak „dorosło" do juwenaliów.

Rozmawiał i notował
Mirosław Derecki

KSIĄŻKI NADESŁANE

PRZEZ PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Kazimiera Iłłakowiczówna — Wiersze 1912—1959, Warszawa 1964, wydanie pierwsze

Anna Kowalska — Uliczka klasztorna, powieść, Warszawa 1964, wydanie drugie

Jan Kostra — Ave Eva, wiersze wybrane, wybrała i przełożyła Janina Brzostowska, Wrszawa 1964, wydanie pierwsze

Tadeusz Borowski — Wybór opowiadań, Warszawa 1964, wydanie pierwsze

Włodzimierz Lewin — Wiersze własne i przekłady — wybór, Warszawa 1964, wydanie pierwsze

Artur Międzyrzecki — Poezja dzisiaj, Warszawa 1964, wydanie pierwsze

Anatol Stern — Widzialne i niewidzialne, Warszawa 1964, wydanie pierwsze

Bolesław Prus — Kroniki — tom czternasty, opracował Zygmunt Szweykowski, Warszawa 1964, wydanie pierwsze

Teodor Parnicki — Nowa Baśń, tom III — Labirynt, Warszawa

Adam Naruszewicz — Liryki wybrane, wybrał i wstępem poprzedził Juliusz Gomulicki, Warszawa 1964, wydanie pierwsze

Afanasyj Fet — Liryki, opracował i wstępem opatrzył Gabriel Karski, Warszawa 1964, wydanie pierwsze

Bogdan Madej — Młodzi dorośli ludzie, Warszawa 1964, wydanie pierwsze

Tadeusz Żeleński Boy — Flirt z Melpomeną, wieczór piąty i szósty, tom XXI, opracował Jan Kott, Warszawa 1964, wydanie pierwsze

Gerald Walschap — Jan Hutekiet, przełożyła Edyta Sicińska, Warszawa 1964, wydanie pierwsze

Jose Cabanis — Karty czasu, przełożyła Irena Dewitz, Warszawa 1964, wydanie pierwsze

Philip Roth — Goodbye, Columbus — przełożył Wacław Niepokólczycki, Warszawa 1964, wydanie pierwsze.

Fot. Zbigniew Małga

„Kozienalia" w Lublinie. Strażnicy pozwalają żakom wejść do Bramy Krakowskiej

PRZEGLĄD PLASTYCZNY

(Dokończenie ze str. 9)

i gwałtowną kreskę pewnie wydobywającą formy. Przy okazji dodajmy, że Mieleszko (przy pomocy Hermana) realizował pomnik ofiar faszyzmu w Tyszowcach, którego odsłonięcie nastąpiło 8 bm.

Na koniec należy wspomnieć o trwającej kilkanaście tygodni wielkiej wystawie na wolnym powietrzu (w podwórku przy Sądzie Wojewódzkim), którą zorganizował Zygmunt Bartkiewicz. Kilka wypadków kradzieży obrazów (dokonanych zapewne przez ubogich miłośników sztuki), może świadczyć o popularności tego malarstwa.

Reasumując: ilość wystaw wzrasta, lecz poziom prac nie wybiega (poza wyjątkami) ponad przeciętny, ukształtowany w Lublinie już kilka lat temu. W dalszym ciągu nie możemy pochwalić się jakimś nowym, wartościowym i własnym zjawiskiem artystycznym.

I. J. Kamiński

Dwutygodnik społeczno-kulturalny „Kamena" • Redaguje Kolegium • Redaktor naczelny Maria Bechczyc-Rudnicka, sekretarz redakcji Zygmunt Mikulski • Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich • Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 7 • Telefon 36-45 • Redakcja rękopisów nie odsyła • Warunki prenumeraty: kwart. zł 12, półrocznie zł 24, rocznie zł 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu", zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu". Prenumerata przyjmowana jest od 1 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywa się przedpłaty. Prenumerata za granicą: kwartalnie zł 16,80; półrocznie zł 36,40; rocznie zł 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje PKWZ „Ruch", Warszawa, ul. Wronia 23, Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch" Lublin, nr konta PKO Lublin 2-6-544. Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN — Zam. 3654. 6.XI.64. 2.600. R-3